

**JOSEPH
CONRAD**

MŁODOŚĆ

Joseph Conrad

Мłodość

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23528874

Мłodość i inne opowiadania:

ISBN 978-83-288-3129-2

Аннотация

Мłodość i inne opowiadania to zbiór autorstwa Josepha Conrada, w którego skład wchodzi trzy utwory: Мłodość, Jądro ciemności i U kresu sił powiązane przede wszystkim czasem powstania. Są to opowieści łączące wątki autobiograficzne autora oraz fikcję literacką, dotyczą życia morskiego, podróży, cywilizacji, zetknięcia obcych kultur, kolonializmu. Po raz pierwszy zostały wydane w 1902 roku. Joseph Conrad, właściwie Józef Korzeniowski, to pisarz pochodzenia polskiego tworzący w języku angielskim. W swojej twórczości zajmował się problemami psychologiczno-moralnymi, podejmował tematykę kolonializmu i relacji swój-obcy. Odbywał liczne podróże, czego echa brzmią w jego twórczości, której bohaterami są przedstawiciele różnych kultur i narodowości.

Содержание

Przedmowa autora	5
Młodość	10
Jądro ciemności	64
I	64
Конец ознакомительного фрагмента.	111

Joseph Conrad

Młodość i inne opowiadania

Młodość i inne opowiadania to zbiór autorstwa Josepha Conrada, w którego skład wchodzi trzy utwory: *Młodość*, *Jądro ciemności* i *U kresu sił* powiązane przede wszystkim czasem powstania.

Są to opowieści łączące wątki autobiograficzne autora oraz fikcję literacką, dotyczą życia morskiego, podróży, cywilizacji, zetknięcia obcych kultur, kolonializmu. Po raz pierwszy zostały wydane w 1902 roku.

Joseph Conrad, właściwie Józef Korzeniowski, to pisarz pochodzenia polskiego tworzący w języku angielskim. W swojej twórczości zajmował się problemami psychologiczno-moralnymi, podejmował tematykę kolonializmu i relacji swój-obcy. Odbywał liczne podróże, czego echa brzmią w jego twórczości, której bohaterami są przedstawiciele różnych kultur i narodowości.

Przedmowa autora

Mojej żonie

... *Lecz karzeł odrzekł: nie; wszystko, co ludzkie,
droższe mi jest od bogactw całego świata*

Bajki Grimma

Trzy opowieści zawarte w tej książce nie mają pretensji do jedności artystycznego celu. Jedyłą łączącą je więzią jest czas ich powstania. Należą do okresu następującego bezpośrednio po wydaniu *Murzyna z załogi „Narcyza”*, a poprzedzającego pierwszy pomysł *Nostromo*, dwóch książek, które, jak mi się zdaje, wyodrębniają się wśród całości mego dzieła. Jest to zarazem okres mojej współpracy z „Blackwood’s Magazine”, okres, w którym dominuje *Lord Jim*; owe czasy wiążą się w mej wdzięcznej pamięci z krzepiącą, czynną dobrocią nieżyjącego już Williama Blackwooda.

Młodość nie była pierwszą pracą, jaką dałem do „Blackwood’s Magazine”. Była już drugą. Ale w tej noweli pojawia się na świecie po raz pierwszy człowiek nazwiskiem Marlow, z którym moje stosunki zacieśniły się bardzo z biegiem lat. Pochodzenie tego dżentelmena (o ile wiem, nikt nigdy nie wątpił o jego dżentelmeństwie) było przedmiotem pewnych literackich domysłów przyjaznej natury, co miło mi stwierdzić.

Zdawałoby się, że moja osoba jest powołana, by rzucić światło na ową kwestię, ale mówiąc szczerze, nie uważam tego wcale za takie łatwe. Przyjemnie mi wspomnieć, że nikt nigdy nie posądził Marlowa o szalbiercze zamiary ani nie uważał go za szarlatana; poza tym jednak ludzie pomawiali go o najprzeróżniejsze rzeczy; przypuszczano, że jest zręcznym parawanem, zwykłym pretekstem, czyimś sobowtórem, opiekuńczym duchem, podszeptującym „demonem”. Na mnie zaś padło podejrzenie, iż obmyśliłem plan, aby nim zawładnąć.

Tak nie było. Nic sobie z góry nie układałem. Z człowiekiem nazwiskiem Marlow zesłiliśmy się zupełnie przypadkowo, tak jak się zawiera znajomości w miejscach kuracyjnych¹ – znajomości, które czasem dojrzewają do przyjaźni. I tak się też stało w tym wypadku. Pomimo stanowczości, z jaką Marlow wypowiada zazwyczaj swe zdanie, nie jest bynajmniej natrętem. Nawiedza mnie w godzinach samotności i wtedy milcząc rozmyślamy nad czymś wspólnie w przytulnym, harmonijnym nastroju, lecz rozstając się z nim przy końcu opowieści, nie jestem nigdy pewny, czy to nie po raz ostatni. Nie myślę jednak, aby który z nas miał ochotę przeżyć drugiego. Co się tyczy Marlowa, jego funkcja skończyłaby się w każdym razie z moją śmiercią i cierpiałby nad swym zatraceniem, gdyż podejrzewam go o pewną próżność. Nie mam tu na myśli próżności w znaczeniu Salomonowym. Ze wszystkich moich postaci on jeden nie drażnił mnie nigdy. To człowiek na wskroś dyskretny

¹ *miejsce kuracyjne* – sanatorium. [przypis edytorski]

i wyrozumiały.

Młodość została bardzo dobrze przyjęta nawet jeszcze przed ukazaniem się w książce. Muszę wyznać nareszcie – a to miejsce równie dobrze się do tego nadaje jak każde inne – że byłem przez całe życie – przez całe dwa moje życia – zepsutym przybranym dzieckiem Wielkiej Brytanii, a nawet wielkobrytyjskiego cesarstwa. Wygłaszam to oświadczenie nie z powodu utajonej skłonności do megalomanii², lecz przeciwnie, jako człowiek, który nie ma co do siebie wielkich złudzeń. Podlegam uczuciom chełpliwości³ i pokory wrodzonej każdemu. Trudno bowiem zaprzeczyć, że ludzie się pyszną przeważnie nie swymi zasługami, lecz raczej niezwykłym swym szczęściem, zdumiewającym powodzeniem; tym, za co dziękczynienia i ofiary należy składać na ołtarzach nieprzeniknionych bogów.

Jądro ciemności również zwróciło na siebie od razu dość znaczną uwagę, a o jego pochodzeniu tyle mogę powiedzieć: wiadomo ogólnie, że ludzie ciekawi wścibiają nos w najprzeróżniejsze miejsca (gdzie nie mają nic do roboty) i wynoszą stamtąd zdobycz najrozmaitszą. To opowiadanie i jeszcze jedno, nie zamieszczone w niniejszym tomie, jest całym łupem, jaki wyniosłem ze środka Afryki, gdzie doprawdy nie miałem nic do roboty. *Jądro ciemności*, opowieść o bardziej ambitnym założeniu, a przy tym dłuższa, jest w zasadniczych rysach równie autentyczna jak *Młodość*. Pisałem

² megalomania – mania wielkości. [przypis edytorski]

³ chełpliwość – zarozumiałość. [przypis edytorski]

ją w innym usposobieniu, co jest zresztą widoczne. Nie chcę tego usposobienia ściślej określać, ale każdy może stwierdzić, że nie był to bynajmniej nastrój tęsknego żalu lub wspomnień pełnych czułości.

Można tu dodać jeszcze jedną uwagę. *Młodość* jest popisem pamięci. Jej treść to wspomnienie pewnego mego przeżycia; lecz całe to przeżycie i w treści wewnętrznej, i w zewnętrznym swym zabarwieniu zaczyna się i kończy we mnie. *Jądro ciemności* jest również przeżyciem, ale przesuniętym trochę (choć bardzo nieznacznie) poza fakty, które zaszły istotnie, dla celu najzupełniej usprawiedliwionego, jak sądzę; chciałem uczynić owo przeżycie bliższym umysłom i sercom czytelników. Nie chodziło mi tu już specjalnie o ścisłość kolorytu. Był to jak gdyby zupełnie inny rodzaj sztuki. Musiałem nadać ponuremu tematowi złowrogi rezonans, ton bardzo swoisty i przeciągłą wibrację, które – miałem nadzieję – zostaną w powietrzu i będą dźwięczały w uszach, gdy ostatnia nuta już przebrzmi.

Omówiwszy to wszystko, muszę jeszcze wspomnieć o ostatnim opowiadaniu tej książki. *U kresu sił* jest opowieścią z życia morskiego, ujętą w sposób dosyć szczególny, a oto najbardziej poufna rzecz, jaką mogę o niej powiedzieć: żyjąc długie lata tym życiem w całej pełni, wśród jego ludzi, jego pojęć, jego wrażeń, uznałem bez wahania – z zupełną szczerością i spokojnym sumieniem – że mogę wysnuć dzieje kapitana Whalleya i opowiedzieć, jaki był jego koniec. Ta moja deklaracja zyskuje na sile z następującego powodu: oto

kartki tej opowieści, stanowiące dokładnie połowę książki, są również wynikiem doświadczenia. Owo doświadczenie (zarówno jak i przeżycia opisane w *Młodości*) odnosi się do czasu, gdy jeszcze w głowie mi nie powstało, że będę kiedykolwiek pisał. Co zaś do „realności” opowiadania, muszą już o niej zdecydować czytelnicy. Wypadło mi zbierać tu i ówdzie potrzebne fakty. Więcej wprawy byłoby je uczyniło prawdziwymi, a cały utwór bardziej zajmującym. Ale tu już zbliżamy się do mglistej krainy artystycznych wartości, gdzie wchodzić mi nie wypada i gdzie zaiste groziłoby mi niebezpieczeństwo. Przejrzałem korekty, poprawiłem parę błędów drukarskich, zmieniłem parę słów – i to wszystko. Nie bardzo jest prawdopodobne, abym przeczytał jeszcze kiedykolwiek *U kresu sił*. Nic więcej mówić nie trzeba. Najbardziej mi odpowiada właśnie takie rozstanie z kapitanem Whalleyem – wśród serdecznego milczenia.

1917

J. C.

Młodość

Mogło się to wydarzyć tylko w Anglii, gdzie ludzie i morze niejako przenikają się wzajemnie: morze wchodzi w życie większości ludzi, a ludzie wiedzą o morzu coś niecoś lub też wszystko, czy to jako o rozrywce, czy terenie podróży, czy wreszcie warsztacie pracy.

Siedzieliśmy wokoło mahoniowego stołu, wsparci na łokciach; gładki blat odbijał butelkę, kieliszki z czerwonym winem i nasze twarze. Był tam dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik, Marlow i ja. Dyrektor przeszedł ongi szkołę na „Conway’u”, buchalter służył przez cztery lata na morzu, prawnik – wspaniały okaz omszałego torysa, anglikanin, najmilszy towarzysz, wcielenie honoru – pełnił służbę pierwszego oficera na linii śródziemnomorsko-wschodniej w dobrych, dawnych czasach, gdy pocztowe statki miały żagle na rejach przynajmniej u dwóch masztów i wjeżdżały na Morze Chińskie pod sprzyjającym monsunem z dodatkowymi bocznymi żaglami rozpiętymi w dole i w górze. Każdy z nas rozpoczął życie w marynarce handlowej. Jednoczyła nas wszystkich pięciu silna więź morza oraz koleżeństwo w rzemiośle, którego nie może zastąpić choćby i największe zamiłowanie do jachtingu, żeglowania i tym podobnych sportów, ponieważ są to tylko przyjemności życia, gdy tamto jest samym życiem.

Marlow (mam wrażenie, że tak się pisze jego nazwisko) opowiedział nam historię, a raczej kronikę pewnej podróży:

– Tak, widziałem coś niecoś ze wschodnich mórz; ale najlepiej pamiętam pierwszą podróż w tamte strony. Wy wiecie, koledzy, że zdarzają się podróże, które są jakby umyślnie zamówione dla zobrazowania życia – które mogą służyć za symbol istnienia. Człowiek walczy, pracuje, oblewa się potem, zamęcza się prawie na śmierć, czasem istotnie daje życie, ażeby czegoś dokonać – i ani rusz mu nie idzie. Nie z jego winy, po prostu nie może nic zrobić, ani wielkiego, ani małego, nic a nic, nie może się nawet ożenić ze starą panną lub dobić z nędznym sześćsettonowym ładunkiem węgla do wyznaczonego portu.

Ta historia zasługiwała na to, aby ją zapamiętać. Była to pierwsza moja podróż na wschód, i to pierwsza, w której uczestniczyłem jako drugi oficer; było to także pierwsze dowództwo mojego szypra⁴. Przyznacie mi, że czas już naglił. Przynajmniej sześćdziesiąt lat miał ten mały, przygarbiony człowieczek o szerokich, niezupełnie prostych plecach i jednej nodze bardziej kabłąkowej niż druga, o dziwacznej, koślawej postaci, jaką widuje się często u ludzi pracujących w polu. Nos jego usiłował zetknąć się z brodą nad zapadniętymi ustami, a twarz przypominała dziadka od orzechów; okalał ją siwy jak stal, puszysty zarost, podobny do podpinki od hełmu zrobionej z

⁴ *szyper* – pot. kapitan, dowódca niewielkiego statku handlowego; szyper w razie potrzeby włącza się w wykonywanie niezbędnych prac wraz z resztą załogi. [przypis edytorski]

waty i posypanej sadzami. A w tej starej twarzy tkwiły błękitne oczy, dziwnie podobne do oczu chłopięcych, o niewinnym wyrazie, który czasem zupełnie przeciętni ludzie zachowują do końca życia dzięki rzadkiemu darowi prostoty serca i prawości ducha. Zachodziłem w głowę, co go skłoniło do przyjęcia mnie na statek. Rozstałem się właśnie z szykownym kliprem⁵ australijskim, gdzie byłem trzecim oficerem, a mój nowy szyper zdawał się mieć uprzedzenie do szykownych kliprów jako arystokratycznych i zadzierających nosa. Powiedział mi: „Proszę pana, na tym statku będzie pan musiał pracować”.

Odrzekłem, że musiałem pracować na wszystkich statkach, gdzie tylko służyłem.

– O, to jest zupełnie co innego – wy, paniczycy z tych wielkich okrętów... ale co tam! Sądzę, że pan się tu nada. Proszę stawić się jutro.

Stawiłem się nazajutrz. Działo się to przed dwudziestu dwu laty; i miałem okrągłe lat dwadzieścia. Jak ten czas leci! Był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Pomyślcie tylko! Zostałem po raz pierwszy drugim oficerem – oficerem prawdziwie odpowiedzialnym! Nie byłbym oddał swego nowego stanowiska za żadne skarby świata. Pierwszy oficer obejrzał mnie starannie. Był to także jegomość stary, ale innego pokroju. Miał rzymski nos, śnieżnobiałą, długą brodę, a nazwisko jego

⁵ *kliper* (z ang. gw. środ. *clip*: szybkość) – rodzaj szybkiego, smukłego żaglowca popularnego w 2. poł. XIX w., posiadającego wyjątkowo wysokie, 3 lub 4 maszty, osiągającego rekordowe prędkości, do 21 węzłów (tj. ok. 40 km/h). [przypis edytorski]

brzmiało Mahon, lecz kładł nacisk na to, aby wymawiać je „Mann”. Był z dobrej rodziny, tylko szczęście mu jakoś nie dopisało i kariery nie zrobił.

Co się tyczy kapitana, żeglował całe lata na statkach nadbrzeżnych, potem po Morzu Śródziemnym, a wreszcie dostał się do zachodnioindyjskiego handlu. Nie objechał nigdy przylądków. Charakter pisma miał niepewny, koślawy i bynajmniej pisać nie lubił. Obaj byli oczywiście żeglarzami co się zowie, a ja czułem się między tymi starymi ludźmi jak mały chłopczyk między dwoma dziadkami.

Okręt był także stary. Nazywał się „Judea”. Dziwaczna nazwa, prawda? Właściciel jego, nazwiskiem Wilmer, Wilcox czy coś w tym rodzaju, zbankrutował i umarł przed jakimiś dwudziestu laty, mniejsza o to, jak się nazywał. „Judea” stała w basenie w Shadwell przez całe wieki. Możecie sobie wyobrazić, w jakim była stanie. Cała w kurzu, rdzy, plugastwie – u góry sadza, brud na pokładzie. Wydało mi się, że opuszczam pałac dla zrujnowanej chatki. Miała około czterystu ton pojemności, prymitywną windę kotwiczną, drewniane klamki u drzwi i wielką kwadratową rufę; nigdzie nie było na niej ani źdźbła mosiądzu. U rufy widniała nazwa okrętu wypisana wielkimi literami, a pod nią wycinane laubzega⁶ ozdoby z drzewa o startej pozłocie, z czymś w rodzaju tarczy herbowej i wypisanym poniżej mottem: „Czyń lub giń”. Pamiętam, że podziałało

⁶ *laubzega* (niem. *Laubsäge*; od *Laub*: liść i *Säge*: piła) – cienka piła służąca do wyrzynania otworów (również ozdobnych wykrojów) w drewnie. [przypis edytorski]

mi to niezmiernie na wyobraźnię. Był w tym jakiś powiew romantyzmu, coś, co sprawiło, że pokochałem ten stary grat – coś, co przemówiło do mojej młodości!

Opuściliśmy Londyn z obciążeniem w postaci piasku, udając się do jednego z północnych portów po węgiel dla Bangkoku. Bangkok! Zadrzałem z radości. Spędziłem na morzu już sześć lat, lecz widziałem tylko Melbourne i Sydney – bardzo porządne miasta, zachwycające miasta w swoim rodzaju – ale Bangkok!

Wyszliśmy z Tamizy pod żaglami, mając na pokładzie pilota z Morza Północnego. Nazywał się Jermyn i plątał się cały dzień po kambuzie⁷ susząc przy piecu swoją chustkę do nosa. Widocznie nigdy nie sypiał. Ten ponury człowiek, z wieczną kapką świecą u nosa, albo uporał się dopiero co z jakimś kłopotem, albo był w kłopotcie, albo spodziewał się, że wpadnie w kłopot – i czuł się dobrze jedynie wtedy, gdy coś szło nie tak, jak trzeba. Nie dowierzał mojej młodości, mojemu rozsądkowi, mojej żeglarskiej wiedzy, i postawił sobie za zadanie, aby mi to okazywać w najprzeróżniejszy sposób. Zdaje mi się, że miał słuszość. Sądzę, że umiałem wówczas bardzo mało, a i teraz umiem niewiele więcej; ale żywię nienawiść względem Jermyna aż do dnia dzisiejszego.

Po tygodniowej żegludze dotarliśmy do Yarmouth Roads, a potem dostaliśmy się w burzę – słynną październikową burzę sprzed dwudziestu dwóch lat. Wicher, błyskawice, deszcz

⁷ *kambuz* – pomieszczenie lub jego wydzielona część przeznaczona do przygotowywania posiłków na statku; kuchnia okrętowa. [przypis edytorski]

ze śniegiem, śnieżycą i straszliwe morze. Lecieliśmy niby na skrzydłach; zrozumiecie, jak źle było z nami, kiedy wam powiem, że mieliśmy strzaskane nadburcie i zalany pokład. W ciągu drugiej nocy balast przesunął się na stronę podwietrzną, a jednocześnie zapędziło nas gdzieś w okolice Dogger Bank. Nie było innej rady, tylko zejść na dół z szuflami i starać się doprowadzić statek do porządku – i oto staliśmy w tej przestronnej ładowni, ponurej jak jaskinia; łojowe świece migotały przytwierdzone do belek, bursa wyła w górze, okręt rzucał się na bok jak szalony; byliśmy tam wszyscy co do jednego, Jermyn, kapitan, pochłonięci tą pracą grabarzy, i ledwie się mogliśmy utrzymać na nogach, usiłując rzucać szufle mokrego piasku ku stronie nawietrznej. Przy każdym zatoczeniu się statku widać było niewyraźnie w mętnym świetle, jak ludzie się przewracają zakreślając wielkie łuki szuflami. Jeden z naszych chłopców okrętowych (było ich dwóch) płakał rozdierająco pod wrażeniem tej niesamowitej sceny. Słyszeliśmy, jak szlochał gdzieś w ciemnościach.

Trzeciego dnia burza ucichła i zabrał nas wkrótce jakiś północny holownik. Tylko szesnaście dni zużyliśmy na przejazd z Londynu do Tyne! Kiedyśmy weszli do doku, okazało się, że straciliśmy naszą kolejkę do ładowania i wycofano nas do dalszego rzędu, gdzie pozostaliśmy przez miesiąc. Pani Beard (kapitan nazywał się Beard) przyjechała z Colchester, aby się zobaczyć ze starym. Mieszkała na statku. Załoga opuściła okręt; pozostali tylko oficerowie, jeden z chłopców okrętowych i

steward, Mulat, którego wołano Abraham. Pani Beard była też stara, miała twarz pomarszczoną i rumianą jak zimowe jabłko, a figurę młodej panny. Zobaczyła raz, że przyszywam sobie guzik, i wymogła na mnie, abym jej dał koszule do naprawy. To było coś zupełnie różnego od zachowania żon kapitanów, które poznałem na szykownych kliprach. Gdy jej przyniosłem koszule, zapytała:

– A skarpetki? Jestem pewna, że potrzebują naprawy; rzeczy Jana – to jest kapitana Bearda – są już doprowadzone do porządku. Miło mi będzie mieć coś do roboty.

Kochana staruszka. Przepatrzyła wszystkie moje rzeczy, a ja tymczasem czytałem po raz pierwszy *Sartora Resartusa* i Burnaby'ego *Wyprawę na Chiwę*. Niewiele wówczas zrozumiałem z pierwszej książki; pamiętam jednak, że przekładałem żołnierza nad filozofa, a życie mię jeszcze w tym utwierdziło. Jeden był człowiekiem, drugi zaś może czymś więcej, a może i mniej? Tak czy owak, obydwaj już nie żyją i pani Beard nie żyje, a młodość, siła, geniusz, myśli, czyny, proste serca – wszystko umiera... Mniejsza o to.

Przyjeliśmy wreszcie ładunek. Zaciągnęliśmy załogę. Ośmiu wykwalifikowanych marynarzy i dwóch chłopców. Odholowano nas pewnego wieczoru do boi u wrót doku; byliśmy gotowi do odjazdu i spodziewaliśmy się doprawdy, że nazajutrz puścimy się w drogę. Pani Beard zamierzała wrócić do domu pociągiem odchodzącym późno w noc. Gdy statek został zacumowany, udaliśmy się na herbatę. Siedzieliśmy dość milcząco u stołu – Mahon, starzy małżonkowie i ja. Wypiłem herbatę pierwszy i

wymknąłem się na papierosa do swojej kajuty w nadbudówce na pokładzie, tuż przy rufie. Był przyptyw, chłodny wiatr zaciął kapuśniaczkim, podwójne wrota doku stały otworem, a parowce węglowe wjeżdżały i wyjeżdżały w ciemności z palącymi się jasno światłami, wśród głośniego chłupotu śrub, zgrzytu bloków i nawoływań rozlegających się u cyklów mola. Przypatrywałem się procesji świateł dziobowych sunących wysoko i zielonych świateł sunących nisko w mroku, gdy nagle czerwony błysk zajrzał mi w oczy, znikł, ukazał się znów i pozostał. Dziób parowca zamajaczył blisko. Krzyknąłem w dół do kabiny:

– Chodźcie tu prędko! – i usłyszałem przestraszony głos daleko w ciemnościach:

– Zatrzymać maszyny, panie kapitanie!

Zabrział dzwon. Inny głos krzyknął ostrzegawczo:

– Wjeżdżamy wprost na tę barcę, panie kapitanie!

Odpowiedzią na to było szorstkie: „Aha”, i zaraz potem rozległ się potężny trzask – parowiec ugodził na ukos zaokrąglonym dziobem w takielunek przedniego masztu. Nastąpiła chwila zamieszania, wrzasków i bieganiny. Para huczała. Usłyszałem czyjeś słowa:

– Już dobrze, panie kapitanie.

– Czy u was wszystko w porządku? – zapytał szorstki głos.

Skoczyłem na dół, aby obejrzeć szkodę, i odkrzyknąłem:

– Zdaje się, że tak.

– Powoli w tył – rzekł szorstki głos. Rozległ się dzwon.

– Co to za parowiec? – krzyknął Mahon. W owej chwili statek

był dla nas już tylko masywnym cieniem manewrującym opodal. Odkrzyknęli nam jakąś nazwę – „Miranda” czy „Melissa”, czy coś w tym rodzaju.

– Z tego wszystkiego posiedzimy jeszcze miesiąc w tej przeklętej dziurze – rzekł do mnie Mahoń, gdyśmy oglądali przy świetle latarni strzaskane nadburcie i poszarpane brasy⁸.

– Ale gdzie kapitan?

Nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy go wcale przez cały ten czas. Poszliśmy go szukać na rufę. Żałosny głos zaczął nas okrzykiwać skądś ze środka doku:

– Hej! na „Judei”!...

Jak on się u diabła tam dostał?...

– Hej, hej! – odkrzyknęliśmy.

– Zniosło mnie w naszej łódce, jestem bez wiosła! – krzyknął. Jakiś zapóźniony cumownik ofiarował się z pomocą. Mahon dobił z nim targu: za pół korony miał być nasz szyper przyholowany do statku; tymczasem nie kapitan, ale pani Beard ukazała się pierwsza u trapu. Pływali oboje po doku w tym mżącym kapuśniaczkę przez blisko godzinę. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. Okazało się, że gdy kapitan usłyszał mój krzyk: „Chodźcie tu!”, zrozumiał w lot, co się dzieje, porwał żonę, wypadł na pokład, przebiegł go i dostał się do łodzi, która była przymocowana u trapu. To nieźle jak na

⁸ brasy – liny służące do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej w celu ustawiania ożaglowania rejowego w najkorzystniejszej pozycji względem wiatru. [przypis edytorski]

sześćdziesięcioletniego człowieka. Wyobraźcie sobie staruszka unoszącego po bohatersku w ramionach tę starą kobietę – kobietę swego życia. Usadowił ją w łodzi na ławce i już miał się wdrapać z powrotem na pokład, gdy lina się jakoś odczepiła i zaczęli oboje odpływać. W tym zamieszaniu nie słyszeliśmy naturalnie jego nawoływań. Wyglądał na zawstydzonego. Pani Beard rzekła wesoło:

– Przypuszczam, że teraz już wszystko jedno, czy się spóźnię na pociąg.

– Tak, Jenny, idź na dół i rozgrzej się – mruknął. Potem zwrócił się do nas:

– Żona to żaden interes dla marynarza. Byłem tam, poza okrętem. No, tym razem nic się złego nie stało. Chodźmy i popatrzmy, co nam ten głupi parowiec potrzaskał.

Szkody były niewielkie, ale opóźniło nas to o trzy tygodnie. Na koniec, ponieważ kapitan był zajęty ze swymi agentami, zniosłem podróżną torbę pani Beard na stację i umieściłem staruszkę wygodnie w przedziale trzeciej klasy. Spuściwszy okno, rzekła do mnie:

– Pan jest zacnym młodzieńcem. Jeśli pan kiedy zobaczy, że Jan – to jest kapitan Beard – wychodzi w nocy bez szalika na pokład, niechże mu pan w moim imieniu przypomni, żeby dobrze ochraniał szyję.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziałem.

– Pan jest zacnym młodzieńcem, zauważyłam, jak pan się opiekuje Janem, to jest kapitanem...

Pociąg nagle ruszył; zdjąłem czapkę; nie zobaczyłem staruszki już nigdy... Dajcie butelkę.

Wyszliśmy z portu nazajutrz. W chwili naszego wyjazdu miały już trzy miesiące od czasu, gdy opuściliśmy Londyn. A spodziewaliśmy się, że to będzie trwało najwyżej dwa tygodnie.

Był styczeń i cudowna pogoda – taka piękna, słoneczna, zimowa pogoda, która ma więcej uroku niż letnia, ponieważ jest niespodziana i rześka, i wiemy, że nie będzie, że nie może trwać długo. Jest jak pomyślny traf, jak dar zesłany z nieba, jak nieoczekiwane szczęście.

Było pogodnie przez cały czas, gdyśmy płynęli przez Morze Północne, potem przez Kanał Angielski, i trwało to, dopóki nie odsadziliśmy się ze trzysta mil na zachód od przylądka Lizards; wtedy wiatr obrócił się na południowy zachód i zaczął gwizdać. We dwa dni nawiał nam burzę. „Judea” dryfowała, tarzając się po Atlantyku jak stare pudło od świec. Wiatr dał dzień po dniu; dał ze złością, bez przerwy, bez miłosierdzia, bez odpoczynku. Świat był ogromem spienionych fal, rzucających się na nas pod niebem tak niskim, że prawie można było dotknąć go ręką, a brudnym jak zadymiony sufit. W burzliwej przestrzeni, która nas otaczała, unosiło się tyleż lotnych bryzgów co i powietrza. Dzień w dzień i noc po nocy nie było wokół okrętu nic poza wyciem wichru, zgiełkiem morza, łoskotem wody przelewającej się przez pokład. Żadnego wytchnienia dla statku i żadnego wytchnienia dla nas. Ciskał się, miotał, stawał na głowie, siadał na ogonie, przewalał się i stękał, a my musieliśmy przetrwać to wszystko na

pokładzie albo też w dole trzymać się koi w nieustannym wysiłku ciała i udręce duszy.

Pewnej nocy Mahon odezwał się do mnie przez okienko kajuty. Otworzyło się tuż nad łóżkiem, na którym leżałem w butach, czuwając; miałem wrażenie, iż nie zmrużyłem oka już od lat i że nie podobna byłoby mi zasnąć. Rzekł w podnieceni:

– Marlow, nie ma tu pan pręta do mierzenia wody? Pompy ani rusz nie chcą ssać. Wielki Boże, to nie są żarty!

Dałem mu pręt i położyłem się znowu, usiłując myśleć o przeróżnych rzeczach, ale myślałem tylko o pompach. Kiedy wyszedłem na pokład, ciągle jeszcze pracowano u pomp i moja wachta zastąpiła poprzednią. W świetle latarni, którą przyniesiono na pokład, aby obejrzeć pręt, mignęły mi zmęczone, poważne twarze majtków. Pompowaliśmy przez całe te cztery godziny. Pompowaliśmy całą noc, cały dzień, cały tydzień, wachta po wachcie. Okręt się rozlatywał i przeciekał szpetnie – nie dosyć, aby nas od razu zatopić, ale dość, by nas zabić pracą przy pompach. A w ciągu naszego pompowania statek opuszczał nas po kawałku; poszło nadburcie, stojaki poręczy zostały wyrwane, wietrzniki zdruzgotane, drzwi od kabiny wgniecione. Nie było nigdzie suchego miejsca. Odbywało się z wolna patroszenie okrętu. Szalupa – jakby pod wpływem czarów – rozpadła się w drzazgi, stojąc w miejscu na legarach⁹.

⁹ *legar* – podkład pod ciężkie przedmioty, zazwyczaj wykonany z belek drewnianych; tu: umocowana do pokładu podstawa, na której umieszcza się szalupę okrętową.
[przypis edytorski]

Sam ją przymocowałem i pyszniłem się poniekąd swym dziełem, które opierało się tak długo złościwości morza. Pompowaliśmy w dalszym ciągu. Niepogoda nie ustawała ani na chwilę. Morze było białe jak olbrzymi płat piany, jak kocioł gotującego się mleka; nie dostrzegało się żadnej luki w chmurach, choćby na szerokość dłoni, choćby na przeciąg dziesięciu sekund. Nie istniało dla nas niebo, nie istniały dla nas gwiazdy ani słońce, ani wszechświat – nic poza gniewnymi chmurami i rozwścieczonym morzem. Pompowaliśmy wachta za wachtą, pompowaliśmy, walcząc o życie; i zdawało się, że to trwa już miesiące, lata, całą wieczność, jakbyśmy umarli i znaleźli się w piekle dla żeglarzy. Zapomnieliśmy, jaki to dzień w tygodniu, miesiąc, rok – zapomnieliśmy, że byliśmy kiedykolwiek na lądzie. Żagle zostały zerwane, statek leżał na boku pod płócienną zasłoną od wiatru, ocean przelewał się przez niego, a nam to było obojętne. Kręciliśmy tymi korbami i mieliśmy oczy idiotów. Kiedy wyczołgiwaliśmy się na pokład, opasywałem liną ludzi, pompy i maszt główny, po czym kręciliśmy, kręciliśmy bez ustanku, a woda sięgała nam po pas, po szyję, wyżej głowy. Nic to nie pomagało. Zapomnieliśmy, jakie to uczucie, kiedy się jest suchym.

A we mnie tkwiła gdzieś myśl: „No, no! To ci dopiero morowa awantura – jak w jakiej książce – a ja jadę po raz pierwszy jako drugi oficer i mam dopiero dwadzieścia lat i oto wytrzymuję wszystko równie dobrze jak każdy z tych ludzi, i podnoszę moich chłopców na duchu.” Cieszyłem się. Nie byłbym się wyrzekł

swych przeżyć za nic w świecie. Miałem chwile radosnego uniesienia. Gdy stary, ogołocony statek przechylał się ociężale, wznosząc konchę rufy wysoko w powietrze, zdawało mi się, że rzuca ku bezlitosnym chmurom, jak apel, jak wyzwanie, jak okrzyk słowa wypisane na rufie: „«Judea». Londyn. «Czyń lub giń»”.

O młodości! O młoda siło, o młoda wiaro, o młoda wyobraźni! „Judea” to nie był dla mnie stary gruchot wiozący przez świat za opłatą ładunek węgla, był to dla mnie wysiłek, próba, probierz życia. Myślę o niej z upodobaniem, z miłością, z żalem – jak się myśli o kimś zmarłym, kogo się kochało. Nie zapomnę jej nigdy... Dajcie butelkę.

Pewnej nocy, gdy przywiązani do masztu – jak już mówiłem – pompowaliśmy ogłuszeni przez wiatr i tak upadli na duchu, że nawet nie pragnęliśmy śmierci, potężny bałwan gruchnął o pokład i przejechał się po nas. Złapawszy oddech krzyknąłem natychmiast, jak nakazuje służba:

– Trzymajcie się, chłopcy! – i nagle poczułem, że jakiś twardy przedmiot pływający po pokładzie uderzył mnie w łydkę. Chciałem go pochwycić, ale nie natrafiłem na niego. Było tak ciemno, uważacie, że na odległość stopy nie mogliśmy dojrzeć swych twarzy.

Po tym ciosie statek trwał chwilę w spokoju i ów przedmiot znów mnie uderzył w nogę. Tym razem złapałem go, a był to rondel. Z początku, ogłupiały ze zmęczenia, myśląc tylko o pompach, nie zrozumiałem, co mam w ręku. Nagle rozświetliło

mi się w głowie i krzyknąłem:

– Chłopcy, zniosło domek z pokładu. Rzućcie to, poszukamy kucharza.

Na baku¹⁰ była nadbudówka, w której znajdował się kambuz, koja kucharza i kwatery załogi. Ponieważ spodziewaliśmy się już od dawna, że nadbudówka zostanie zniesiona, kazano majtkom spać w kabinie – jedynym bezpiecznym miejscu na okręcie. Tymczasem steward Abraham trzymał się z oślim uporem swej koi, przypuszczam, że po prostu ze strachu, jak zwierzę, które nie chce opuścić stajni walącej się podczas trzęsienia ziemi. Poszliśmy więc go szukać. Narażaliśmy się na śmierć, ponieważ – pozbywszy się więzów – byliśmy bez żadnej ochrony, jak na tratwie. Ale poszliśmy. Nadbudówkę rozwaliło, jakby granat w środku wybuchnął. Większa jej część poszła za burtę – piec, kwatery majtków, ich rzeczy – wszystko poszło; ale dwa słupy podtrzymujące część grodzi, do której była przytwierdzona koja Abrahama, ocalały jakby cudem. Natrafiliśmy na nie, szukając po omacku między zwaliskami i oto kucharz tam tkwił; siedział na swojej koi wśród piany i szczątków, papląc do siebie wesoło. Utracił rozum; zwariował raz na zawsze wskutek tego nagłego wstrząsu, który zmiotł resztę jego wytrzymałości. Chwyciliśmy go, zawlekliśmy na rufę i rzuciliśmy głową na dół w kajutową schodnię. Rozumiecie, że nie było czasu znosić go na dół z wszelkimi ostrożnościami i czekać, póki się nie przekonamy,

¹⁰ *bak* – skrajna część pokładu dziobowego, położona najbliżej dziobu statku.
[przypis edytorski]

jak mu tam jest. Wiedzieliśmy, że ci w dole podniosą go z dna schodów – i koniec. Pilno nam było wrócić jak najprędzej do pomp. One czekać nie mogły. Taki szpetny przeciek to nieludzka bestia.

Można by pomyśleć, że jedynym celem piekielnej burzy było pomieszenie w głowie nieborakowi Mulatowi. Nad ranem wiatr ustał, nazajutrz zaś niebo było pogodne, a gdy się morze uspokoiło, woda zaczęła znów przeciekać. Gdy doszło ponownie do częściowego zwinięcia żagli, załoga zażądała powrotu – i rzeczywiście nic nam innego nie pozostawało. Łodzie przepadły, pokład był wymieciony na czysto, kajuta wypatroszona, ludziom zostało tylko to, co mieli na sobie – poza tym nic – zapasy były zepsute, okręt przemęczony. Obróciliśmy go dziobem ku Anglii i – czy dacie wiarę? Pojawił się wiatr od wschodu, prosto nam w oczy. Dał, zimny, dał bez ustanku. Musieliśmy wywalczać sobie każdy cal drogi, lecz statek nie ciekł tak bardzo, gdyż morze było stosunkowo gładkie. Pompować dwie godziny na cztery to nie zabawka – ale trzymało nas to na powierzchni aż do Falmouth.

Poczcivi ludzie tamtejsi żyli ze szkód wyrządzonych przez morze i widok nasz ucieszył ich z pewnością. Zgłodniała rzesza cieśli okrętowych wzięła się do ostrzenia dłut, spostrzegłszy ten szkielet okrętu. I, dalibóg, musieli się porządnie obłowić, zanim z nami skończyli. Zdaje mi się, że właściciel statku był już wówczas w opałach. Zwlekano z decyzją. Wreszcie postanowiono, że ładunek zostanie częściowo wyjęty, a burty uszczelnione powyżej linii wodnej. Załatwiwszy się z tym,

dokończono naprawy i załadowano węgiel z powrotem; nowa załoga zjawiała się na pokładzie, po czym wyruszyliśmy do Bangkoku. Po upływie tygodnia byliśmy znów z powrotem. Załoga oświadczyła, że nie pojedzie do Bangkoku – sto pięćdziesiąt dni podróży – na gruchocie, który wymaga, aby pompować osiem godzin na dwadzieścia cztery; a do rejestrów okrętowych wciągnięto znów krótką notatkę: „«Judea». Barka. Z Tyne do Bangkoku; węgiel; powróciła do Falmouth z przeciekami i załogą odmawiającą posłuszeństwa”.

Potem nastąpiła znów zwłoka – łatano w dalszym ciągu. Właściciel przyjechał na jeden dzień i orzekł, że statek jest bez zarzutu. Biedny stary kapitan Beard wyglądał jak duch szypra Geordie’go wskutek tych wszystkich trosk i upokorzeń. Nie zapominajcie, że miał już sześćdziesiątkę i że to było pierwsze jego dowództwo. Mahon powiedział:

– To głupi interes, który się źle skończy.

Kochałem statek więcej niż kiedykolwiek i strasznie mi się chciało dostać do Bangkoku. Bangkok! Czarodziejska nazwa, błogosławiona nazwa. Gdzie tam do niej Mezopotamii. Pamiętajcie, że miałem dwadzieścia lat, że jechałem pierwszy raz jako drugi oficer, że Wschód czekał na mnie.

Wyszliśmy i stanęliśmy na kotwicy po zewnętrznej stronie portu ze świeżą załogą – trzecią z rzędu. Statek przeciekał gorzej niż kiedykolwiek. Zdawało się, że ci przekłęci cieśle doprawdy zrobili w nim dziurę. Tym razem nie opuściliśmy nawet portu. Załoga odmówiła po prostu pracy przy windzie kotwicznej.

Odholowano nas z powrotem do wewnętrznego portu i staliśmy się miejscową przynależnością, cechą, instytucją. Ludzie pokazywali nas przyjezdnym:

– O, to ta barka, co ma jechać do Bangkoku, jest tu już od pół roku, trzy razy wracała z drogi.

W dni świąteczne mali chłopcy kręcący się w łódkach okrzykiwali nas:

– Hej hej, na „Judei”! – a gdy czyjaś głowa pojawiała się nad burta, wołali: – Dokąd jedziecie? do Bangkoku? – i drwili z nas.

Byliśmy tylko we trzech na statku. Biedny stary kapitan gryzł się w kajucie. Mahon zajął się kuchnią i nadspodziewanie rozwinął talent iście francuski w przyrządzaniu doskonałych skromnych potraw. A ja zajmowałem się od niechcenia takielunkiem. Staliśmy się obywatelami Falmouth. Znał nas każdy sklepikarz. U golarza czy w składzie tytoniu zapytywano poufnie:

– Czy pan myśli, że dojedziecie do Bangkoku?

Tymczasem właściciel, akcjonariusze i dzierżawcy statku swarzyli się między sobą w Londynie, a pensje nam wciąż wypłacano... Dajcie butelkę.

To było okropne. Moralnie czuliśmy się gorzej niż wówczas, gdy pompowaliśmy, aby ujść z życiem. Zdawało się, że świat o nas zapomniał, że nie należymy do nikogo, że nie pojedziemy już nigdzie; zdawało się, że – niby zaczarowani – będziemy musieli żyć na wieki wieków w tym wewnętrznym porcie, jako pośmiewisko, jako legenda dla całych pokoleń łazęgow z

wybrzeża i nieuczciwych przewoźników. Dostałem pensję za trzy miesiące, urlop pięciodniowy – i machnąłem się do Londynu. Podróż w jedną stronę zajęła mi dzień, powrót – drugi, ale tak czy siak, trzymiesięczna pensja poszła. Nie wiem, co z nią zrobiłem. Byłem, zdaje się, w *music-hallu*, jadałem śniadania, obiady i kolacje w szykownej restauracji na Regent Street i wróciłem na oznaczony czas, mając do pokazania – jako owoc trzymiesięcznej pracy – komplet dzieł Byrona i nowy pled podróżny. Przewoźnik, który wiozł mnie na statek, rzekł:

– No, no! Myślałem, że pan już rzucił ten stary grat. On nigdy nie dojedzie do Bangkoku.

– Powiedział, co wiedział – odparłem pogardliwie, ale wcale mi się to proroctwo nie podobało.

Nagle zjawił się jakiś osobnik, coś w rodzaju czyjegoś agenta, wyposażony w całkowite pełnomocnictwa. Miał twarz pokrytą wyrzutami od picia grogu, nieposkromioną energię, wesoły był i dobroduszny. Zbudziliśmy się znów do życia. Podjechał do nas *hulk*¹¹ i zabrał ładunek, po czym przenieśliśmy się do suchego doku, gdzie mieli zdjąć miedziane poszycie z dna statku. Nie dziwota, że okręt przeciekał. Udręczony przez burzę do ostatecznych granic wytrzymałości, wypuł nieborak – jakby ze wstrętu – wszystkie pakuły ze swoich niższych szwów. Zapchano na nowo szpary, obito kadłub miedzią – okręt stał się szczelny jak butelka. Pojechaliśmy do hulka i przeładowaliśmy znów towar.

Wówczas – pewnej pięknej księżycowej nocy – wszystkie

¹¹ *hulk* – statek, wycofany z eksploatacji. [przypis edytorski]

szczury opuściły okręt.

Wydręczyły nas niemożliwie. Zniszczyły nam żagle, pochłonęły więcej żywności niż załoga, uprzejmię dzieliły z nami łóżka i niebezpieczeństwa, a teraz, gdy okręt nadawał się znów do podróży, postanowiły się wynieść. Zawołałem Mahona, aby się cieszył tym widokiem. Szczur za szczurem zjawiał się na naszym nadburciu, oglądał się po raz ostatni i skakał z głuchym łoskotem w pusty kadłub hulka. Usiłowaliśmy je policzyć, ale wkrótce straciliśmy rachubę. Mahon rzekł:

– No, no! Nie mówcie mi o inteligencji szczurów. Powinny były opuścić nas przedtem, kiedyśmy o włos nie zatoneły. Ma pan tu dowód, jaki niemądry jest przesąd co do szczurów. Porzucają dobry statek dla starego, zbutwiałego pudła, gdzie w dodatku nie ma nic do jedzenia. Głupie zwierzęta!... Nie wierzę, aby wiedziały, co dla nich jest dobre lub złe, lepiej od pana albo ode mnie.

I porozmawiawszy czas jakiś, zgodziliśmy się na to, że mądrość szczurów grubo jest przeceniona, gdyż w gruncie rzeczy nie przewyższa ludzkiej mądrości.

Historia statku była już wówczas znana wzdłuż Kanału, w górę od Lands' End aż do Forelands i nie mogliśmy dostać załogi na południowym wybrzeżu. Przysłano nam całą, skompletowaną, z Liverpoolu i wyruszyliśmy jeszcze raz – do Bangkoku.

Mieliśmy pomyślne wiatry i gładkie morze aż do zwrotników, a stara „Judea” sunęła ociężale w słońcu. Gdy robiła osiem

węzłów, wszystko w górze trzeszczało i przywiązywaliśmy sobie czapki do głów; ale przeważnie wlokła się z szybkością trzech mil na godzinę. Czegóż innego można się było spodziewać? Stary okręt był już zmęczony. Młodość jego była tam, gdzie teraz moja, gdzie wasza, towarzysze, którzy słuchacie mojej opowieści; a czyż przyjaciel świeciłby wam w oczy waszymi latami i waszym znużeniem? Nie szemraliśmy na „Judeę”. Przynajmniej jeśli chodzi o nas, tych z rufy – zdawało się nam, żeśmy się na niej urodzili, wychowali, że żyliśmy na niej przez całe wieki, nie znając nigdy żadnego innego statku. Byłbym mógł równie dobrze zwymyślać w kraju stary wiejski kościółek za to, że nie jest katedrą.

A ja miałem jeszcze i młodość, która dodawała mi cierpliwości. Cały Wschód był przede mną i całe życie, i myśl, że na tym statku zostałem poddany próbie i wcale dobrze z niej wyszedłem. Myślałem także o ludziach, którzy przed wiekami dążyli tym samym szlakiem – na okrętach nie lepiej żeglujących – do kraju palm i korzeni, i żółtych piasków, i brunatnych ludów rządzonych przez królów okrutniejszych od rzymskiego Nerona i wspanialszych niż żydowski Salomon. Stara barka wlokła się, ociążała od wieku i brzemienia swego ładunku, ja zaś żyłem życiem młodości, nieświadom niczego i pełen nadziei. Statek sunął powoli przez nieskończoną procesję dni; a świeża poźłota odbijała zachodzące słońce i zdawała się rzucać nad ciemniejące morze słowa wymalowane na rufie: „«Judea». Londyn. «Czyń lub giń»”.

Wjechaliśmy na Ocean Indyjski, sterując na północ ku Jawajskiemu Przylądkowi. Wiatry były słabe. Mijały tygodnie. „Judea” pełzła naprzód – „czyń lub gin” – a ludzie w kraju zaczęli nas uważać za opóźnionych.

Raz w sobotę wieczorem nie miałem służby i załoga poprosiła, abym im wydał nadetatowy kubeł wody – do prania. Ponieważ nie chciałem pompować słodkiej wody tak późno, poszedłem, pogwizdując, na bak z kluczem w rękę, aby otworzyć mały przedni luk, gdyż zamierzałem wydać wodę z zapasowego zbiornika, któryśmy tam trzymali.

Zapach w dole był równie nieoczekiwany jak okropny. Można było pomyśleć, że setki lamp naftowych palą i kopcą w tej dziurze całymi dniami. Byłem rad, kiedyś się stamtąd wydostał. Majtek, który był ze mną, zakaszłał i rzekł:

– Dziwny zapach, proszę pana. – Odpowiedziałem niedbale:

– To podobno dobrze robi na zdrowie – i poszedłem w stronę rufy.

Przede wszystkim wetknąłem głowę w kwadratowy otwór wentylatora na śródkręciu. Gdy podnosiłem wieko, powiew widzialny dla oka, coś jakby wątła mgła, kłęb leciutkiego oparu podniósł się nad otworem. Wznoszące się powietrze było rozgrzane, duszne, czuć je było kopciem i naftą. Pociągnąłem raz nosem i zamknąłem delikatnie pokrywę. Nie warto było się dusić. Ładunek się palił.

Nazajutrz okręt zaczął już dymić na dobre. Widzicie, należało się tego spodziewać, bo choć węgiel był w dobrym gatunku,

przesypywano go tyle razy i tak go przy tym pokruszono, że wyglądał po prostu jak węgiel do kuźni. A przy tym zmókł – i to nie raz. Padało przez cały czas, gdyśmy go przeładowywali z hulka, teraz zaś rozgrzał się podczas tego długiego przejazdu – i oto zaszedł wypadek samorodnego ognia.

Kapitan wezwał nas do kajuty. Wyglądał na zgnębionego; na stole rozłożona była mapa. Rzekł:

– Wybrzeże zachodniej Australii jest blisko, ale zamierzam płynąć w dalszym ciągu do wyznaczonego nam portu. Mamy teraz w dodatku miesiąc huraganów; zachowamy jednak kierunek na Bangkok i będziemy walczyli z ogniem. Żadnego wracania już nie będzie, choćbyśmy się mieli upiec. Spróbujemy najpierw zdusić ten przekłety pożar przez brak powietrza.

Spróbowaliśmy. Pozatykaliśmy wszystkie szpary, a jednak wciąż dymiło. Dym wydobywał się przez niedostrzegalne szczeliny, przeciskał się przez grodzie i pokrywy, wypływał i tu, i tam, i wszędzie, cienkimi nitkami, niewidzialną mgłą, w niepojęty sposób. Przedostał się do kajuty, do kasztelu¹²; pozatruwał osłonięte miejsca na pokładzie, czuło się go aż na głównej rei środkowego masztu. Jasne było, że jeśli dym wychodził, to powietrze wchodziło. Działo to na nas zniechęcająco. Ten pożar nie dawał się zdusić.

Postanowiliśmy uciec się do wody i zdjęliśmy z luków

¹² *kasztel* – nadbudówka na daw. żaglowcach, znajdująca się na dziobie lub rufie statku (kasztel dziobowy i rufowy), zawierająca pomieszczenia dla oficerów oraz stanowiska lekkich dział. [przypis edytorski]

pokrywy. Olbrzymie masy dymu, białawe, żółtawe, gęste, tłuste, mgliste, duszące wzniosły się aż na wysokość masztów. Wszyscy wycofali się na rufę. Zatruta chmura odpłynęła i wróciliśmy do pracy wśród dymu, który już nie był gęściejszy od zwykłego dymu z fabrycznego komina.

Przygotowaliśmy pompę tłoczącą i wydobyliśmy gumowego węża, który pękł wkrótce. Był równie stary jak statek – po prostu przedhistoryczny wąż nienadający się już do naprawy. Wprawiliśmy w ruch słabą pompę dziobową, czerpiąc przy tym wodę wiadrami, i tym sposobem zdołaliśmy wkrótce wlać do głównego luku całe masy Oceanu Indyjskiego. Jasny strumień błyszczał w słońcu, wpadał w cienką warstwę białego, czołgającego się dymu i znikał na czarnej powierzchni węgla. Podnosiła się para zmieszana z dymem. Leliśmy słońcą wodę jak w beczkę bez dna. Pompowanie było naszym losem na tym okręcie, wylewanie z niego wody i wlewanie jej z powrotem; usunąwszy ze statku wodę, aby ocalić się od zatonięcia, leliśmy w niego wodę jak najęci, aby się ocalić od spalenia.

A „Judea” pełzła naprzód – „czyń lub giń” – wśród pięknej pogody. Niebo było cudem czystości, lazurowym cudem. Morze było gładkie, było błękitne, było przejrzyste, było wyiskrzzone jak drogocenny kamień otaczający nas ze wszystkich stron, aż do widnokregu, jakby cały glob ziemski był jednym klejnotem, jednym olbrzymim szafirem – drogim kamieniem przetworzonym w planetę. A po blasku wielkich, spokojnych wód sunęła nieznacznie „Judea” spowita w leniwe i nieczyste

opary, w ocieężałą chmurę spływającą ku stronie podwietrznej – jasną i powolną; w cuchnącą chmurę, która kalala wspaniałość morza i niebios.

Przez cały czas, oczywiście, nie widzieliśmy wcale ognia. Ładunek tlił się gdzieś od spodu. Raz, gdyśmy pracowali ramie w ramie, Mahon rzekł do mnie ze szczególnym uśmiechem:

– No, gdyby tak teraz zrobiła się porządna szpara w kadłubie – jak wtedy, gdyśmy pierwszy raz wypłynęli z Kanału – to by zaszpuntowała ten ogień. Prawda?

Zauważyłem bez związku:

– Pamięta pan szczury?

Walczyliśmy z ogniem, a zarazem pełniliśmy służbę na statku tak starannie, jakby wszystko było w porządku. Steward gotował i obsługiwał nas. Z pozostałych dwunastu ludzi ośmiu pracowało, podczas gdy czterej wypoczywali. Na każdego przychodziła kolej, nie wyłączając kapitana. Równość była zupełna, a jeśli nie dosłowne braterstwo, to w każdym razie wiele wzajemnej życzliwości. Czasem który z majtków, śmignawszy wiadro wody w luk, wykrzykiwał:

– Niech żyje Bangkok! – a reszta się śmiała. Ale na ogół byliśmy milczący i poważni – i spragnieni. Ach, jacy spragnieni! A z wodą trzeba było się obchodzić ostrożnie. Wydzielano ściśle porcje. Statek dymił, słońce jaśniało... Dajcie butelkę.

Próbowaliśmy wszystkiego. Usiłowaliśmy nawet dokopać się do ognia. Oczywiście to było na nic. Nikt nie mógł wytrzymać w dole więcej niż minutę. Mahon zeskoczył pierwszy i zemdłał

tam; to samo stało się z majtkiem, który się zsunął po niego. Wyciągnęliśmy ich na pokład. Potem znów ja zeskoczyłem, aby pokazać, jak to się łatwo da zrobić. Mieli już wówczas doświadczenie i poprzestali na tym, że wyłowili mnie za pomocą haka na łańcuchu przymocowanym, zdaje się, do kija od szczotki. Nie zaproponowałem, że wrócę po szufłę, którą zostawiłem tam w dole.

Zaczęło to brzydko wyglądać. Spuściliśmy na morze szalupę. Druga łódź była gotowa do spuszczenia. Mieliśmy też jeszcze jedną, czternastopową łódkę wiszącą na żurawikach z tyłu, gdzie była zupełnie bezpieczna.

I oto – wyobraźcie sobie – dym zaczął się nagle zmniejszać. Podwoiliśmy wysiłki, aby zalać całe dno okrętu. Po dwóch dniach wcale już dymu nie było. Każdy z nas uśmiechał się od ucha do ucha. To było w piątek. W sobotę nie mieliśmy już żadnej pracy, oczywiście poza obsługą statku. Ludzie uprali sobie ubrania, umyli twarze pierwszy raz od dwóch tygodni i dostali specjalny obiad. Mówili z pogardą o samorodnym ogniu dając do zrozumienia, że kto jak kto, ale oni to już umieją dać sobie z tym radę. Czuliśmy się tak, jakby każdy z nas odziedziczył duży majątek. Ale paskudny zapach spalenizny wałęsał się wciąż po okręcie. Kapitan Beard miał wpadnięte oczy i zakłęśte policzki. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jaki jest koślawy i pochylony. Obaj z Mahonem krążyli spokojnie – wężąc u luków i wentylatorów. Uderzyło mnie nagle, że biedny Mahon jest bardzo, bardzo starym jegomościem. Co do mnie,

byłem taki uradowany i dumny, jakbym był pomógł do wygrania wielkiej morskiej bitwy. O młodości!

Noc była piękna. Rano minął nas za rufą statek dążący do kraju – pierwszy, jaki widzieliśmy od miesiący; ale zbliżaliśmy się już na koniec do lądu. Przylądek Jawajski był oddalony o jakieś sto pięćdziesiąt mil w prostej linii na północ.

Nazajutrz wypadła mi od ósmej do dwunastej wachta na pokładzie. Przy śniadaniu kapitan zauważył:

– To dziwne, jak ten zapach wciąż się trzyma kajuty.

Okolo dziesiątej, gdy pierwszy oficer był na tylnym pomoście, zeszedłem na chwilę na główny pokład. Za głównym masztem stał warsztat ciesielski; oparłem się o niego pykając fajkę, a cieśla, młody chłopak, zbliżył się, aby ze mną pogawędzić. Zagadnął:

– Tak mi się widzi, że sprawiliśmy się bardzo porządnie, no nie? – i w tej samej chwili spostrzegłem z rozdrażnieniem, że ten bałwan usiłuje przechylić warsztat. Rzekłem sucho:

– Przestań, Chips – i natychmiast zdałem sobie sprawę z dziwnego uczucia, z idiotycznego złudzenia – wydawało mi się, mianowicie, że jestem w powietrzu. Naokoło siebie słyszałem jakby jakiś potężny, długo powstrzymywany oddech – jakby z tysiąc olbrzymów rzekło jednocześnie: „Phuu!” – i poczułem tępe wstrząśnienie, od którego zaboląły mię nagle zębra. Nie ulegało wątpliwości – znajdowałem się w powietrzu; ciało moje zakreślało krótką parabolę. Ale choć była krótka, zdążyłem sformułować przez ten czas kilka myśli i o ile

pamiętam, w następującym porządku: „Tego nie zrobił cieśla. – Co to takiego? – Jakiś wypadek. – Wulkan podwodny? – Węgle, gaz! Boże wielki! wylatujemy w powietrze. – Wszyscy zginęli. – Wpadam do tylnego luku. – Widzę, że się tam pali”.

Pył węglowy, zawieszony w powietrzu ładowni, zapłonął ciemną czerwienią w chwili wybuchu. W mgnieniu oka, w ułamek sekundy od pierwszego przechylenia się warsztatu leżałem jak długi na ładunku. Podniosłem się i wygramoliłem. Stało się to szybko, jak gdybym się odbił. Pokład był gąszczem strzaskanych drewn, krzyżujących się jak drzewa w lesie po przejściu huraganu; olbrzymia zasłona z ciężkich łachmanów powiewała z wolna przede mną – to główny żagiel poszarpany na strzępy. Pomyślałem: „Maszty runą natychmiast” – i aby usunąć się na bok, popędziłem na czworakach ku trapowi¹³ na rufie. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Mahon z oczyma jak spodki i otwartymi ustami; długie białe włosy stały wkoło jego głowy jak srebrna aureola. Miał właśnie zejść na dół, gdy skamieniał u szczytu schodów na widok głównego pokładu, który się poruszył, podniósł i zmienił w drzazgi w jego oczach. Gapiłem się na Mahona nie wierząc własnym oczom, a on patrzył we mnie z jakąś dziwną, wstrząśniętą ciekawością. Nie wiedziałem, że nie mam włosów, brwi, rzęs, że moje młodociane wąsiki są spalone, twarz czarna, policzek rozcięty,

¹³ *trap* – skośnie zawieszone, składane schody służące do wchodzenia na pokład z nabrzeża oraz schodzenia z pokładu na brzeg lub inną jednostkę pływającą; w czasie żeglugi trap leży złożony przy burcie. [przypis edytorski]

nos skaleczony i broda we krwi. Zgubiłem czapkę, jeden trzewik, a koszulę miałam poszarpaną na łachmany. O tym wszystkim nie miałem pojęcia. Byłem zdumiony, że statek trzyma się jeszcze na wodzie, że tylny pomost jest cały – a najbardziej mię zdumiewał widok kogoś żywego. Spokój nieba i pogodne morze dziwiły mnie też niezmiernie. Widocznie się spodziewałem, że będą się wic ze zgrozy... Dajcie butelkę.

Jakiś głos obwoływał skądś statek – z powietrza, z nieba – nie umiałem zdać sobie sprawy. Wkrótce zobaczyłam kapitana – a kapitan miał bzika. Zapytał mnie skwapliwie: „Gdzie jest stół z kajuty?” To pytanie wstrząsnęło mną strasznie. Zrozumcie, dopiero co wyleciałem w powietrze i dygotałem po tym przeżyciu – nie byłem zupełnie pewien, czy żyję. Mahon zaczął tupać obiema nogami i wrzasnął do kapitana:

– Boże święty, czy pan nie widzi, że pokład wyleciał w powietrze?

Odzyskałem głos i wyjąkałem, jakbym się poczuwał do zaniedbania jakiegoś ważnego obowiązku:

– Nie wiem, gdzie jest stół z kajuty.

To wszystko było jak jakiś idiotyczny sen.

Czy wiecie, czego potem zażądał? Zażądał, żeby zbrasować reje¹⁴. Z wielkim spokojem, jakby był zatopiony w myślach,

¹⁴ *brasować* – obracać reje pod najkorzystniejszym kątem do wiatru za pomocą brasów (tj. olinowania ruchomego pozwalającego na obracanie rei w poziomie); brasowanie wymaga wykonania obrotu dla wszystkich rei danego masztu jednocześnie; *reja*: poziome drzewce umocowane do masztu, do rei przyczepiony jest górny brzeg (tzw. lik) żagla. [przypis edytorski]

nalegał, aby obrócić przednią reję na trawers¹⁵.

– Ja nie wiem, czy kto jeszcze żyje – rzekł Mahon prawie z płaczem.

– Z pewnością zostało ich dość – odpowiedział kapitan łagodnie – żeby obrócić przednią reję na trawers.

W chwili wybuchu staruszek był, jak się zdaje, w swojej kabinie i nakręcał właśnie chronometry, gdy się zatoczył od wstrząsu. Natomiast przyszło mu na myśl – jak później opowiadał – iż barka o coś uderzyła – i wybiegł do kajuty. Tam spostrzegł, że stół gdzieś zniknął. Gdy pokład wyleciał w powietrze, stół spadł oczywiście do magazynu. Na miejscu, gdzie tego dnia rano jedliśmy śniadanie, kapitan zobaczył tylko wielką dziurę w podłodze. To mu się wydało tak strasznie tajemnicze i zrobiło na nim tak olbrzymie wrażenie, że wszystko, co widział i słyszał wydostawszy się na pokład, było już dla niego drobnostką. A pomyślcie, że spostrzegł natychmiast porzucone koło od steru, spostrzegł, że barka zboczyła z drogi – i jedyną jego myślą było skierować tę nędzną, obdartą, pozbawioną pokładu, tlejącą łupinę dziobem ku wyznaczonemu portowi. Bangkok! Szło mu tylko o to. Mówię wam, że ten spokojny, pochylony, prawie ułomny człowiek o pałakowatych nogach był olbrzymem w prostocie swego zamysłu, w spokojnej niewiedzy o naszym wzburzeniu. Skierował nas ku przodowi rozkazującym gestem i poszedł sam ująć koło.

¹⁵ *trawers* – kierunek prostopadły do umownej linii łączącej dziób z rufą statku.
[przypis edytorski]

Tak, to była pierwsza rzecz, którą zrobiliśmy – zbrasowaliśmy reje na tym wraku! Nikt nie zginął ani nie stał się niezdolny do pracy, ale każdy z nas był ciężiej lub lżej ranny. Trzeba wam było ich widzieć! Niektórzy byli w łachmanach, z czarnymi twarzami – jak węglarze, jak kominiarze – a głowy ich, gładkie jak kule, wyglądały niby krótko ostrzyżone, ale w rzeczywistości osmalone były do skóry. Inni, ci z dolnej wachty, którzy podczas snu zostali wysadzeni z zapadających się koi, trzęśli się bez ustanku i jęczeli, nawet krzątając się przy pracy. Ale pracowali wszyscy. Ta liverpoolska załoga, załoga od ciężkich wypadków, miała w sobie odpowiedni materiał. Wiem z doświadczenia, że marynarze mają go zawsze. To morze go daje – obszar, samotność otaczająca ciemne, tępe dusze. No więc – potykaliśmy się, padali, zdzieraliśmy sobie skórę o te szczątki – i zmieniliśmy kurs statku w kierunku wiatru. Maszty stały, ale nie wiedzieliśmy, na ile są zwęglone od dołu. Było prawie zupełnie spokojnie, lecz długa fala nadbiegła od zachodu i rozkołysała statek. Maszty mogły runąć lada chwila. Popatrywaliśmy na nie z lękiem. Nie podobna było przewidzieć, w którą stronę upadną.

Potem cofnęliśmy się na rufę i rozejrzeliśmy się. Pokład był płataniną desek leżących bokiem i stojących na sztorc, szczap, zdruzgotanych sprzętów z drzewa. Maszty wznosiły się z tego chaosu jak wielkie drzewa nad skłębionym poszyciem lasu. Puste miejsca wśród masy szczątków były wypełnione czymś białawym, poruszającym się ślimaczo, podobnym do tłustej mgły. Dym z niewidzialnego ognia znów się pokazał, siał się jak trujący,

gęsty opar w jakiejś dolinie zawalonej martwymi drewnami. Ospałe kosmyki zaczynały się już kłębić ku górze wśród masy szczap. Gdzieniegdzie kawał drewna tkwił prostopadle, podobny do słupa. Pół kołkownicy¹⁶ przymasztowej przebiło przedni żagiel, a niebo kładło plamę wspaniałego błękitu na ohydne zszargane płótno. Kilka desek trzymających się razem upadło w poprzek poręczy i jedna deska wystawała za burtę niby kładka nie prowadząca nigdzie, niby kładka prowadząca nad głębokie morze, prowadząca w śmierć – jakby nas zapraszała, aby wejść na nią od razu i skończyć z naszymi śmiesznymi troskami. A powietrze, niebo – duch jakiś, coś niewidzialnego – obwoływało wciąż okręt.

Któryś z nas był na tyle rozsądny, że spojrzął za burtę i okazało się, iż tam jest sternik, który skoczył instynktownie w morze, a teraz chciał się dostać z powrotem. Krzyczał i płynął gwałtownie jak tryton, trzymając się na jednej linii z okrętem. Rzuciliśmy mu linę; stanął wkrótce między nami, ociekający wodą i wielce zgębiony. Kapitan oddał mu koło i usunął się na bok; z łokciem wspartym o poręcz i brodą w dłoni patrzył zamyślony na morze. Pytaliśmy się siebie: co teraz będzie? A ja myślałem: „No, to jest coś porządnego. To doprawdy jest wielkie. Ciekawe, co się też stanie...”. O młodości!

Nagle Mahon dojrzał parowiec daleko za rufą. Kapitan Beard rzekł:

¹⁶ *kołkownica* – belka z otworami, w które wkłada się kołki do mocowania lin, umieszczona na maszcie lub nadburciu. [przypis edytorski]

– Możemy jeszcze coś z nim zrobić.

Wywiesiliśmy dwie flagi, które znaczą w międzynarodowym morskim języku: „Pożar. Potrzebna natychmiastowa pomoc”. Parowiec powiększył się szybko i wkrótce przemówił dwiema flagami na przednim maszcie: „Idę na ratunek”.

W pół godziny znalazł się na jednej linii z nami po stronie nawietrznej, na odległość głosu, z lekka się kołysząc z zatrzymanymi maszynami. Straciliśmy panowanie nad sobą i wrzasnęliśmy wszyscy razem w podnieceniu:

– Wysadziło nas w powietrze!

Jakiś człowiek w białym hełmie stojący na mostku odkrzyknął:

– Aha! Dobrze, dobrze! – i kiwał głową, i uśmiechał się, i machał ku nam ręką łagodnie, jakbyśmy byli gromadą przerażonych dzieci.

Jedna z łodzi opadła na wodę i szła ku nam po morzu na długich wiosłach. Czterej kalasze¹⁷ wiosłowali, rozkołysani miarowo. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy malajaskich żeglarzy. Poznałem ich później dobrze, ale wówczas uderzyła mnie ich obojętność: podjechali tuż pod burtę i nawet dziobowy, trzymający się bosakiem naszych cum, nie raczył podnieść głowy i spojrzeć w górę. Pomyślałem, że ludzie, którzy wylecieli w powietrze, zasługują na więcej uwagi.

¹⁷ *Kalasze* – grupa etniczna zamieszkująca obszary od Turcji do Indii; pod koniec XIX w. przez tereny zamieszkałe przez Kalaszów przebiegała (po szczytach gór Hindukusz) granica między indyjsko-pakistańskimi ziemiami kolonii Imperium Brytyjskiego a Afganistanem; tu: tubulcy. [przypis edytorski]

Mały człowieczek, suchy jak wiór i zręczny jak małpa, wspiął się na górę. Był to pierwszy oficer z parowca. Rzucił okiem i zawołał:

– Oj, chłopcy, opuście wy lepiej okręt.

Milczeliśmy. Rozmawiał z kapitanem czas jakiś na osobności – zdawał się coś mu przekładać. Potem pojechali razem na parowiec.

Kiedy nasz szyper wrócił, dowiedzieliśmy się, że parowiec nazywa się „Somerville”, a kapitan – Nash i że wiozą pocztę z zachodniej Australii do Singapuru przez Batawię. Kapitan zgodził się holować nas do Andżeru albo Batawii – jeśli to będzie możliwe – gdzie ugasimy ogień, zrobiwszy dziurę w dnie statku, po czym puścimy się znowu w drogę – do Bangkoku! Nasz stary wyglądał na podnieconego.

– Jeszcze tam zajedziemy – rzekł z zawziętością do Mahona. Pogroził pięścią niebu.

Nikt się już nie odezwał.

O dwunastej parowiec zaczął nas holować. Jechał naprzód, smukły i wysoki, a to, co pozostało z „Judei”, dążyło za nim szybko na końcu siedemdziesięciosążniowej liny holowniczej jak obłok dymu ze sterczącymi w górę masztami. Wspięliśmy się na maszty, aby zwinąć żagle. Kaszlaliśmy na rejach układając starannie buchty¹⁸. Czy sobie wyobrażacie tę naszą gromadkę tam w górze zwijającą porządnie żagle okrętu, któremu było

¹⁸ *buchta* – zwój liny ułożonej tak, by można było w razie potrzeby natychmiast ją rozwinać, bez ryzyka splątania. [przypis edytorski]

sądzone nigdzie już nie dojechać? Nie znalazł się między nami ani jeden, który by nie pomyślał, że maszty runą lada chwila. Dym nie pozwalał nam dojrzeć z góry pokładu, a ludzie pracowali starannie, okręcając sejzyngi¹⁹ w równych odstępach.

– Zwijać mi żagle po portowemu, tam w górze! – krzyknął z dołu Mahon.

Czy wy to rozumiecie? Nie zdaje mi się, aby którykolwiek z tych chłopców sądził, że się dostanie na dół zwyczajnym sposobem. Kiedyśmy zesli, słyszałem, jak mówili między sobą:

– No, byłem pewien, że się zwalimy za burtę – wszystko w kupie – i patyki, i my – żebym skisł, jeśli tak nie myślał.

– A jakże, i ja też tak myślałem – odrzekło znużonym głosem inne poharatane i obandażowane czupiradło.

I pomyślcie – przecie ci ludzie nie mieli za sobą karności wdrożonej przez musztrę. Dla postronnego widza wyglądałoby jak zbiorowisko skończonych urwipołciów, niemających żadnej jaśniejszej strony. Co ich skłoniło do wykonania tego rozkazu, co sprawiło, że byli mi posłuszni, gdy – myśląc z całą świadomością, jakie to piękne – kazałem im dwa razy opuścić bant²⁰ przedniego żagla i lepiej go złożyć? Co tu wchodziło w grę? Ci majtkowie nie mieli zawodowej ambicji ani wzorów, nie oczekiwali pochwał. Nie przemawiało przez nich poczucie obowiązku; wszyscy

¹⁹ *sejzyng* a. *sejzing*, – krótka (o dł. 0,5–1,5 m) linka zakończona zaplecionym uchem, służąca do związywania zrzuconych żagłów przy drzewcach, wiązania bucht (ułożonych zwojów) grubej liny itp. [przypis edytorski]

²⁰ *bant* a. *banta* – kilkuwarstwowy pas płótna stanowiący wzmocnienie na krawędziach, rogach i w poprzek żagla. [przypis edytorski]

umieli się doskonale wymawiać, wykręcać i wałkonic – kiedy mieli ochotę – a przeważnie ją mieli. Czy odgrywały tu rolę te dwa funty dziesięć szylingów na miesiąc? Uważali, że powinni mieć przynajmniej dwa razy tyle. Nie; przyczyną ich zachowania było coś, co tkwiło w nich samych, co jest wrodzone i subtelne, i wieczne. Nie twierdzę stanowczo, że załoga francuskiego lub niemieckiego okrętu nie mogła tego zrobić, ale wątpię, czy zrobiłaby to w ten sposób. Była w tym jakaś skończoność, coś, co równie jest mocne jak zasada i równie potężne jak instykt – ujawnienie czegoś tajnego, ukrytego – tego daru dobra czy zła, który stanowi o rasie, który kształtuje los narodów.

Właśnie tej nocy o dziesiątej ujrzeliśmy po raz pierwszy ogień, któryśmy zwalczali. Znaczna szybkość, jaką rozwinął statek podczas holowania, rozdmuchała tlejące zarzewie. Niebieskie światło ukazało się na przodzie błyszcząc pod wrakiem pokładu. Chwiało się płatami, zdawało się poruszać i pełzać jak światło świętojańskiego robaczka. Spostrzegłem je pierwszy i powiedziałem o tym Mahonowi.

– No, to już wszystko skończone – rzekł. – Dajmy lepiej pokój temu holowaniu, bo inaczej statek wybuchnie nagle z tyłu i z przodu, zanim zdążymy uciec.

Okrzyknęliśmy się głośno; zaczęliśmy dzwonić, aby zwrócić uwagę ludzi z parowca; nic z tego, holowali nas w dalszym ciągu. Wreszcie Mahon i ja musieliśmy popęznąć na bak i przeciąć linę toporem. Nie było czasu na odwiązywanie postronków. Pokazywały się już czerwone języki liżące gąszcz szczap pod

naszymi nogami, gdyśmy wracali na rufę.

Oczywiście na parowcu spostrzeżono prędko, że lina znikła. Rozległ się głośny gwizd, światła parowca zatoczyły rozległe półkole, statek zbliżył się do nas i zatrzymał burta w burcie. Staliśmy wszyscy zbitą gromadką na rufie i patrzyliśmy na niego. Każdy majtek wyratował niewielkie zawiniątko lub torbę. Nagle stożkowaty płomień o skręconym czubie strzelił w górę nad bakiem i rzucił na czarne morze krąg światła naokoło tych dwóch statków, kołyszących się z lekka obok siebie. Kapitan Beard siedział od wielu godzin na okrętowaniu, milczący i nieruchomy; teraz dźwigał się powoli i wysunął na czoło naszej gromadki, aż do want²¹ masztu tylnego. Kapitan Nash zawołał:

– Chodźcie do nas! Spieszcie się. Mam na statku worki z pocztą. Zabiorę was i wasze łodzie do Singapuru.

– Nie, dziękuję panu – rzekł nasz szyper. – Musimy dotrzeć aż do końca.

– Nie mogę zostać z wami ani chwili dłużej – krzyknął tamten.

– Poczta – pan rozumie.

– Tak, naturalnie. Nic nam nie trzeba.

– Doskonale! Doniosę o was w Singapurze. Do widzenia!

Skinął ręką na pożegnanie. Nasi ludzie położyli spokojnie węzółki. Parowiec posunął się naprzód i wyszedłszy z kręgu światła znikł natychmiast z naszych oczu oślepionych przez ogień palący się gwałtownie. I wówczas już wiedziałem, że ujrzę

²¹ *wanta* – lina (zwykle spleciona z drutu) stabilizująca maszt w pionie. [przypis edytorski]

wschód po raz pierwszy jako dowódca małej łódki. Wydało mi się to piękne; wierność dla starego statku była też piękna. Obowiązek wymagał, aby dotrzeć na nim do końca. O blasku młodości! O młodzieńczy ogniu, który olśniewasz bardziej niż płomień palącego się statku i rzucasz czarodziejską jasność na szeroką ziemię, i skaczesz zuchwale w niebo – póki wnet ciebie nie stłumi czas, bardziej okrutny i bezlitosny, bardziej gorzki niż morze – młody ogień. Jak płomień palącego się statku otoczony nieprzeniknioną nocą.

*

Stary upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, że obowiązek wymaga, aby ocalić ze sprzętów okrętowych, ile tylko się da – dla akcjonariuszy. Tedy poszliśmy pracować na rufę, a okręt palił się od przodu, aby dostarczyć nam światła pod dostatkiem. Powyciągaliśmy mnóstwo rupieci. Czego tam nie było! Stary barometr, przymocowany idiotyczną ilością śrubek, kosztował mię prawie życie: dym ogarnął mnie nagle i ledwie zdążyłem uciec. Były tam różne zapasy, bale żaglowego płótna, zwoje lin: rufa wyglądała jak jaki bazar morski, a łódki były zapchane aż po burty. Mogło się zdawać, że stary chciał zabrać, ile tylko się dało, ze swego pierwszego dowództwa! Był bardzo, bardzo spokojny, tylko najwidoczniej stracił równowagę. Czy uwierzycie? Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od

zapasowej kotwicy i kotwicę zawozową²². Odpowiadaliśmy z szacunkiem: – „Dobrze, dobrze, panie kapitanie” – i po cichu spuszczałyśmy różne przedmioty za burłę. Ciężka skrzynia z lekarstwami poszła tą drogą, dwa worki zielonej kawy, puszki z farbą – wyobraźcie sobie, puszki z farbą! – całe mnóstwo rzeczy. Potem dostałem rozkaz, aby z dwoma ludźmi wsiąść do łodzi, wszystko uporządkować i trzymać się w pogotowiu czekając na chwilę, gdy trzeba będzie statek opuścić.

Doprowadziłyśmy wszystko do ładu, ustawiliśmy w szalupie maszt dla naszego szypra, który miał objąć nad nią komendę; wtedy z przyjemnością usiadłem sobie na chwilę. Nie miałem naskórka na twarzy, członki bolały mię jak połamane, czułem wszystkie żebra i byłbym przysiągł, że mam przetrącony krzyż. Łódki tuż za rufą leżały w głębokim cieniu, a naokoło widziałem krąg morza oświetlony przez ogień. Olbrzymi płomień wznosił się nad bakiem, prosty i jasny. Płonął gwałtownie wśród szmerów podobnych do trzepotu skrzydeł, wśród dudnienia podobnego do grzmotów. Rozlegały się trzaski, huki, ze stożkowatego ognia leciały w górę iskry – jako że człowiek rodzi się dla trosk, dla borykania się z ciekącymi statkami i ze statkami, które się palą.

Okręt leżał bokiem do fali i do wiatru – który ledwie, ledwie że dmuchał – a najwięcej niepokoiło mnie to, że łódki nie chciały się trzymać za rufą, gdzie były bezpieczne, ale z bezmyślnym

²² kotwica zawozowa a. kotwica zawoźna – stosunkowo lekka kotwica służąca do ściągania statku z mielizny. [przypis edytorski]

uporem właściwym łódkom pchały się pod konchę, aby się potem kołysać wzdłuż burty. Płatały się niebezpiecznie to tu, to tam, zbliżając się do ognia, a okręt najeżdżał na nie i oczywiście groziło nam wciąż, że maszty zwałą się lada chwila za burte. Ja i dwóch moich majtków odpychaliśmy łódki w miarę sił wiosłami i bosakami, ale zaczęło mnie to wreszcie złościć, tym bardziej że nic nie stało na przeszkodzie natychmiastowemu odjazdowi. Nie mogliśmy dojrzeć ludzi na pokładzie ani odgadnąć, co było przyczyną zwłoki. Majtkowie kłęli pod nosem, a ja nie tylko musiałem odrabiać swoją część pracy, ale i przynaglać do niej dwóch ludzi, którzy zdradzali nieustanną skłonność do położenia się i machnięcia ręką na wszystko.

Wreszcie zawołałem:

– Hej tam, na pokładzie! – Ktoś wyjrzał zza burty. – Jesteśmy gotowi – rzekłem.

Głowa znikła i bardzo prędko wysunęła się znowu.

– Pan kapitan mówi, że to bardzo dobrze i żeby trzymać łódki z daleka od statku.

Minęło pół godziny. Nagle rozległ się straszny hałas, grzechot, brzęk łańcuchów, syk wody, i miliony iskier wleciały w chybotliwą kolumnę dymu, która stała z lekka pochylona nad okrętem. Żurawiki kotwiczne spłonęły i dwie rozpalone do czerwoności kotwice poszły na dno, wyszarpując za sobą dwieście sążni rozpalonego do czerwoności łańcucha. Okręt zadrżał, masa płomieni zakołysała się, jakby miała się zapaść, i szczyt masztu przedniego runął. Poleciał w dół jak ognista

strzała, zanurzył się w wodzie i wyskoczywszy natychmiast na powierzchnię o długość wiosła od łódek, płynął spokojnie, bardzo czarny na jaśniejącym morzu. Okrzyknąłem znów pokład. Po pewnym czasie jeden z ludzi na statku oznajmił mi nadspodziewanie wesołym, a zarazem stłumionym głosem, jakby usiłował mówić z zamkniętymi ustami:

– Zaraz zejdziemy, panie poruczniku – po czym znikł.

Przez długi czas nie dochodziło nic do moich uszu prócz łopotu i huku ognia. Słyszeć było także poświaty. Łodzie podskakiwały, targając linami, wjeżdżały na siebie żartobliwie, zdarzały się bokiem lub wbrew wszystkim naszym wysiłkom kołysały się gromadką pod burtą okrętu. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać i wdrapawszy się po linie dostałem się na rufę.

Było jasno jak w dzień. Wszedłem na pokład; ściana ognia naprzeciw mnie wydała mi się czymś przerażającym, a gorąco z początku było prawie nie do zniesienia. Na poduszce przywleczonej z kanapy w kajucie spał kapitan Beard ze skulonymi nogami, podłożywszy ramię pod głowę, a światło igrało po nim. Czy wiecie, czym była zajęta reszta ludzi? Siedzieli na pokładzie, na samej rufie, wkoło otwartej paki, i jedli chleb z serem popijając porter z butelek.

Na tle płomieni, wijących się we wściekłych językach nad głowami, zdawali się czuć u siebie jak salamandry i wyglądali na bandę desperackich korsarzy. Ogień iskrzył się w białkach ich oczu, połyskiwał na płatach białej skóry wyglądającej przez podarte koszule. Każdy miał na sobie ślady jak gdyby bitwy

– głowy były obandażowane, ramiona podwiązane, kolana obwinięte w brudne szmaty – i każdy trzymał między nogami butelkę, a w garści pajdę sera. Mahon podniósł się. Ze swą piękną, awanturniczą głową, profilem o garbatym nosie, długą białą brodą i odkorkowaną butelką w ręku podobny był do jakiegoś zuchwałego korsarza z dawnych czasów, weselącego się wśród gwałtów i zniszczenia.

– Ostatni posiłek na pokładzie – wyjaśnił uroczyście. – Nie mieliśmy nic w ustach przez cały dzień i po co tu to wszystko zostawiać. – Machnął butelką, wskazując na śpiącego szypra. – Powiedział, że nie może nic przełknąć, więc namówiłem go, żeby się położył – ciągnął dalej; a widząc, że się w niego wpatruję, dodał: – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, mój młody panie, że ten człowiek nie spał już porządnie od wielu dni, a w łodziach diabelnie trudno będzie o sen.

– Wkrótce już wcale łodzi nie stanie, jeśli będziecie tu jeszcze dłużej błaznować – rzekłem z oburzeniem.

Zbliżyłem się do szypra i potrząsnąłem go za ramię. Otworzył w końcu oczy, ale się nie poruszył.

– Czas opuścić statek, panie kapitanie – powiedziałem spokojnie.

Dźwignął się z trudnością, spojrzął na płomień, na morze iskrzące się wokoło statku, a dalej czarne, czarne jak atrament; spojrzął na gwiazdy świecące niewyraźnie przez cienką zasłonę dymu na niebie czarnym, czarnym jak Ere²³.

²³ *Ereb* (mit. gr.) – najciemniejsza część Hadesu, podziemnego świata zmarłych.

– Najpierw najmłodszy – rzekł.

Zwyczajny majtek, obtarłszy usta wierzchem dłoni, wstał, przelazł przez burtę i zniknął. Inni poszli jego śladem. Jeden zatrzymał się u burty, wysączył do dna butelką i rzucił ją w ogień z wielkim rozmachem.

– Weź to! – krzyknął.

Kapitan ociągał się, niepokieszony; zostawiliśmy go, aby obcował przez chwilę sam na sam z pierwszym swoim dowództwem. Potem wspiąłem się znów na pokład i wprowadziłem go wreszcie. Czas naglił. Żelastwo na rufie było gorące przy dotknięciu.

Potem lina szalupy została odcięta i wszystkie trzy łódki związane razem oddaliły się z prądem od statku. W chwili gdy opuszczaliśmy okręt, upłynęło dokładnie szesnaście godzin od wybuchu. Mahon objął komendę nad drugą łodzią, a ja miałem najmniejszą – czternastostopową. Szalupa byłaby pomieściła nas wszystkich, ale szyper powiedział, że musimy uratować z okrętowego dobra, ile tylko się da – dla akcjonariuszy – i w taki sposób objąłem swoje pierwsze dowództwo. Miałem z sobą dwóch ludzi, worek sucharów, kilka puszek z mięsem i beczką wody. Rozkazano mi trzymać się blisko szalupy, aby w razie niepogody mogła nas zabrać.

I wiecie, co pomyślałem? Pomyślałem, że odłączę się od kompanii możliwie najprędzej. Chciałem zachować swoje pierwsze dowództwo wyłącznie dla siebie. Nie śniło mi się

zęgłować z całym oddziałem, jeśli mi się nadarzy sposobność do samodzielnej przeprawy. Wyląduję sam. Pobiję inne łodzie. Młodości! Wszystko to była młodość! Niemądra, czarowna, wspaniała młodość.

Ale nie wyruszyliśmy od razu. Musieliśmy być obecni przy ostatnich chwilach okrętu. Więc łódki dryfowały tu i tam w ciągu tej nocy, wznosząc się i opadając na falach. Ludzie drzemali, budzili się, wzdychali, jęczeli. Patrzyłem na palący się okręt.

Między ciemnością nieba i ziemi płonął burzliwie na tarczy purpurowego morza pocętkowanej grą krwawych błysków – na wodnej tarczy połyskliwej i ponurej. Wysoki, jasny płomień, olbrzymi i samotny, wznosił się nad oceanem, a z wierzchołka tego płomienia czarny dym płynął wciąż w niebo. Statek palił się gwałtownie, ponury i imponujący jak pogrzebowy stos zażegnity wśród nocy, otoczony morzem, strzeżony przez gwiazdy. Wspaniała śmierć spłynęła jak łaska, jak dar, jak nagroda na ten stary okręt u kresu jego pracowitych dni. Poddanie się jego znużonego ducha opiece morza i gwiazd było wzruszające niby widok wspaniałego tryumfu. Maszty zwały się tuż przed świtem – buchnęła zamieć iskier i przez chwilę wypełniła jak gdyby lotnym ogniem noc cierpliwą i czujną, rozległą noc leżącą cicho na morzu. O brzasku statek był już tylko zwęgloną skorupą, która płynęła spokojnie pod chmurą dymu, z rozżarzoną masą węgla w swym wnętrzu.

Wtedy wyjęliśmy wiosła z wody i łódki ustawiły się szeregiem, okrążając szczątki statku jakby w uroczystym

pochodzie, z szalupą na czele. Gdy mijaliśmy rufę, smukły grot ognia strzelił gniewnie w naszą stronę – i nagle okręt poszedł na dno, dziobem naprzód, wśród rozgłośnego syku pary. Niedopalona rufa zanurzyła się na ostatku, lecz farba już z niej opadła, popękała, złuszczyła się; znikły litery i słowa, i uparta dewiza, która była niejako duszą i mogła błysnąć ku wschodzącemu słońcu hasłem statku i jego imieniem.

Skierowaliśmy się na północ. Podniosła się bryza i około dwunastej wszystkie łodzie zeszyły się po raz ostatni. Nie miałem w swojej łódce ani masztu, ani żagla, ale zrobiłem maszt ze zbywającego wiosła i zawiesiłem zamiast żagla pokrowiec od szalupy z bosakiem jako reją. Takielunek łodzi był bezsprzecznie za ciężki, lecz cieszyła mnie pewność, że przy pełnym wietrze mogę pobić obie pozostałe łódki. Musiałem na nie poczekać. Potem przyjrzeliliśmy się wszyscy mapie kapitana i po wspólnym posiłku z twardego chleba i wody odebraliśmy ostatnie rozkazy. Były bardzo proste: sterować na północ i trzymać się możliwie najbliższej jeden drugiego.

– Ostrożnie z tym prowizorycznym takielunkiem, Marlow – rzekł kapitan, a Mahon – gdy przejeżdżałem dumnie koło jego łodzi – zmarszczył garbaty nos i zawołał:

– Mój panie młody, zajedziesz z tym swoim okrętem na dno, jeśli nie będziesz uważał.

Był to złośliwy starzec – i oby głębokie morze, gdzie śpi teraz, kołysało go łagodnie, kołysało go tkliwie aż po kres wieków!

Przed zachodem ulewny szkwał przeszedł nad tamtymi

dwiema łodziami, które zostały daleko za rufą, i wtedy straciłem je z oczu na pewien czas. Następnego dnia siedziałem sterując swoją łupinką – pierwszym swoim dowództwem – a naokoło mnie było tylko niebo i woda. Dostrzegłem po południu górne żagle okrętu w oddali, ale nie powiedziałem nic, a moi ludzie go nie zauważyli. Widzicie, bałem się, że to może być okręt w drodze do kraju, a nie śniło mi się zawracać od samych wrót Wschodu. Sterowałem w kierunku Jawy – druga błogosławiona nazwa, uważacie – podobnie jak Bangkok. Sterowałem przez wiele dni.

Nie potrzebuję wam mówić, co to jest poniewieranie się po morzu w otwartej łodzi. Pamiętam dni i noce zupełnej ciszy, kiedyśmy wiosłowali, wiosłowali, a łódka zdawała się stać na miejscu, jakby spętana czarem w obręczy morskiego horyzontu. Pamiętam upał, potopy nawałnic, które pod grozą śmierci zmuszały nas do wylewania bez tchu wody z łódki (lecz napełniały naszą beczkę), i pamiętam w końcu szesnaście godzin, w ciągu których z ustami wyschniętymi na żużel stawiałem czoło zbałwanionemu morzu na swym pierwszym dowództwie. Nie miałem przedtem pojęcia, jak dzielny jestem człowiekiem. Pamiętam zapadnięte twarze, zgębnione postawy moich dwóch ludzi, pamiętam swoją młodość i uczucie, które już nigdy nie wróci – uczucie, że będę trwał wiecznie, że przetrwam morze, ziemię i wszystkich ludzi; złudne uczucie, które wabi nas do radości, do niebezpieczeństw, do miłości, do próżnych wysiłków – do śmierci; tryumfalne poczucie siły – gorączkę życia w garstce

prochu, a w sercu żar, który z każdym rokiem słabnie, ochładza się, zmniejsza, gaśnie – i zamiera – za wcześnie, za wcześnie – przed wygaśnięciem życia.

Tak oto widzę zawsze Wschód. Poznałem później tajne jego zakątki i patrzyłem mu w samą duszę, ale teraz widzę go zawsze z małej łódeczki: zarys wysokich gór, modrych i dalekich o poranku; podobnych do nikłej mgły w południe; stojących o zachodzie jak poszczerbiony mur z purpury. Czuję w ręku wiosło, w oczach mam pałacy błękit morza. I widzę zatokę – rozległą zatokę gładką jak szkło i polerowaną jak lód – która połyskuje wśród ciemności. Czerwone światło pali się daleko wśród mroku wybrzeża, noc jest łagodna i ciepła. Wiosłujemy z trudem obolałymi ramionami i nagle powiew wiatru wyłania się z cichej nocy, powiew słaby, letni, nasycony dziwnymi zapachami kwiatów, aromatem wonnego drzewa – pierwszy oddech Wschodu na mojej twarzy. Nigdy tego nie zapomnę. Było to nieuchwytnie – a ujarzmiło jak czar, jak szept – zapowiedź tajemniczej rozkoszy.

Podczas ostatniego etapu wiosłowaliśmy jednaście godzin. Dwóch wiosłowało, a ten, na którego wypadł odpoczynek, siedział przy rudlu²⁴. Dostrzegliśmy czerwone światło w zatoce i sterowaliśmy w jego kierunku, odgadując, że oznacza zapewne jakiś mały port nadbrzeżny. Minęliśmy dwa cudzoziemskie okręty o wysokich rufach, śpiące na kotwicy, i zbliżając się do światła – bardzo obecnie przyćmionego – uderzyliśmy dziobem

²⁴ *rudel* – rękojeść steru. [przypis edytorski]

o koniec sterczącego pomostu. Byliśmy ślepi ze zmęczenia. Moi ludzie puścili wiosła i zsunęli się z ławek jak nieżywi. Przymocowałem łódkę do słupa. Jakiś prąd szemrał łagodnie. Pachnący mrok wybrzeża skupił się w wielkie masy; były to zapewne zwarte, olbrzymie kępy roślinności – owe kształty nieme i fantastyczne. U ich podnóża łuk brzegu majaczył jak złudzenie. Ani światła, ani ruchu, ani dźwięku. Oto przede mną Wschód pełen tajemnic, wonny jak kwiat, cichy jak śmierć, mroczny jak grób.

I siedziałem, znużony nad wszelki wyraz, tryumfujący jak zdobywca, rozbudzony i porwany zachwytem, jakbym miał przed sobą głęboką zagadkę kryjącą w sobie przeznaczenie.

Miarowy plusk wioseł rozległ się na poziomie wód, wyolbrzymiony przez ciszę wybrzeża do rozgłośnego chlupotu. Skoczyłem na nogi. Zbliżała się łódź, europejska łódź. Wezwałem imienia zmarłego okrętu; okrzyknąłem się:

– Hej, na „Judei”! – Odpowiedział mi nikły głos.

Był to kapitan. Wyprzedziłem łódź dowódcy o trzy godziny i cieszyłem się, że słyszę znowu głos starego, drżący i znużony.

– To pan, Marlow?

– Niech pan uważa na koniec tego pomostu, panie kapitanie – odkrzyknąłem.

Podpłynął ostrożnie i przycumował łódź za pomocą głębokowodnej ołowianki, którą uratowaliśmy – dla akcjonariuszy. Oddałem nieco swojej liny i znaleźliśmy się burta w burcie. Siedział u steru w zgębnionej postawie, mokry od rosy,

z rękoma splecionymi na kolanach. Jego ludzie już spali.

– Okropną miałem przeprawę – szepnął. – Mahon jest za nami, nie tak daleko.

Rozmawialiśmy szeptem, cichym szeptem, jakbyśmy się bali obudzić ów kraj. Armaty, gromy, trzęsienia ziemi nie zbudziłyby naszych ludzi.

Rozglądając się podczas rozmowy, zobaczyłem daleko na morzu jasne światło wędrujące wśród nocy.

– O, parowiec mija tam zatokę – rzekłem.

Ale nie minął zatoki, tylko wszedł do niej, a nawet zbliżył się tuż i zapuścił kotwicę.

– Chciałbym – rzekł stary – żeby się pan dowiedział, czy to statek angielski. Może by mógł nas gdzie zawieźć.

Kapitan wydał mi się zdenerwowany i niespokojny. Za pomocą okładania pięściami i kopania wprawiłem jednego z moich ludzi w stan somnambulizmu, dałem mu wiosło, sam wzięłem drugie i skierowaliśmy się ku światłom parowca.

Słysząc tam było gwar głosów, metaliczne, głuche szczęki z maszynowni, kroki na pokładzie. Iluminatory jaśniały, okrągłe jak wytrzeszczone oczy. Krążyły postacie, a wysoko na mostku tkwił niewyraźny zarys człowieka. Ten człowiek usłyszał moje wiosła.

I wówczas, nim jeszcze zdążyłem otworzyć usta, przemówił do mnie Wschód – ale przemówił w zachodnim języku. Potok słów został wylany w zagadkową, groźną ciszę; obcych, gniewnych słów, zmieszanych ze słowami i nawet całymi

zdaniem w poprawnym języku angielskim, co było mniej obce, lecz jeszcze bardziej zdumiewające. Głos ten kłął i wymyślał gwałtownie; podziurawił gradem przekleństw uroczysty spokój zatoki. Zaczął od nazwania mnie świnia i od tego epitetu przeszedł *crescendo* do niedających się powtórzyć przymiotników – angielskich. Ów człowiek na górze pieniał się głośno w dwóch językach z taką szczerością w swej pasji, iż przekonał mnie prawie, że popełniłem jakiś grzech przeciw harmonii wszechświata. Z trudem mogłem go dojrzeć, ale przyszło mi na myśl, że doprowadzi się do jakiegoś ataku.

Nagle zamilkł. Usłyszałem, że prycha i sapie jak delfin. Rzekłem:

– Co to za parowiec, proszę pana?

– Co? Co takiego? Kto pan jesteś?

– Jesteśmy załogą rozbitków z angielskiej barki, która się spaliła na morzu. Dobiliśmy tu dziś wieczór. Jestem drugim oficerem. Kapitan znajduje się w szalupie i chciałby wiedzieć, czy by pan nie mógł nas gdzie zabrać.

– Ach, Boże drogi! Doprawdy że... To jest „Celestial” z Singapuru w powrotnej drodze. Porozumiem się z waszym kapitanem jutro rano... i... tego... czy pan mnie słyszał przed chwilą?

– Zdaje mi się, że cała zatoka pana słyszała.

– Myślałem, że to łódź z wybrzeża. Niechże pan posłucha: ten przeklęty wałkoń, łotr – strażnik portowy – znów się pospał – niech go wszyscy diabli! światło zgasło i o mało co

nie wpakowałem się na koniec tego, psiakrew, pomostu. Już trzeci raz urządza mi taki kawał. A teraz pytam się pana, czy mógłby kto znieść coś podobnego? To wystarcza, żeby człowieka doprowadzić do wariacji. Zrobię na niego raport... Doprowadzę do tego, że pomocnik rezydenta wyrzuci go do diabła! Niech pan patrzy – nie ma światła. Zgasło, tak czy nie? Biorę pana na świadka, że światło zgasło. Powinno tam być światło, przecież pan wie. Czerwone światło na...

– Tam było światło – rzekłem łagodnie.

– Ale przecież zgasło, człowieku! Co panu przyjdzie z takiego gadania? Sam pan widzi, że zgasło – może nie? Gdyby pan musiał prowadzić porządną parowiec wzdłuż tego zatraconego wybrzeża, potrzebowałby pan także światła. Dam mu takiego kopniaka, że polecą z końca na koniec swojego nędznego pomostu. Zobacz pan, że to zrobię. Ja go...

– Więc mogę powiedzieć mojemu kapitanowi, że pan nas zabierze? – wtrąciłem.

– Dobrze, zabiorę was. Dobranoc – rzekł szorstko.

Wróciłem, przywiązałem łódź do pomostu i nareszcie położyłem się spać. Poznałem już ciszę Wschodu. Słyszałem urywki wschodniego języka. Ale gdym znów otworzył oczy, cisza była tak wielka, jakby nikt jej nigdy nie mącił. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie wydało mi się takie dalekie, takie wyniosłe. Otworzyłem oczy, leżąc wciąż bez ruchu.

I wówczas zobaczyłem ludzi Wschodu – patrzyli na mnie.

Pomost – jak długi – wypełniony był ludźmi. Widziałem brunatne, brązowe, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumy. A wszystkie te istoty patrzyły we mnie bez szeptu, bez westchnienia, bez ruchu. Wpatrywały się w łódki na dole, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Pędy palm odcinały się spokojnie na tle nieba. Wzdłuż brzegu nie drgnęła ani jedna gałązka, a brunatne dachy ukrytych domów widać było zza zielonego listowia, zza wielkich liści, które zwisały, błyszczące i nieruchome jak liście wykute z ciężkiego metalu. To był zaiste Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspaniały i chmurny, żywy i niezmienny, pełen niebezpieczeństw i obietnic. A oto byli jego ludzie. Siadłem nagle. Fala ruchu przebiegła po tłumie od końca do końca wzdłuż szeregu głów, zakotyssała ciałami, przemknęła po pomoście jak zmarszczka po wodzie, jak powiew wiatru po polu – i wszystko znów zamarło. Widzę to w tej chwili – rozległy łuk zatoki, błyszczący piasek, przepych zieleni bogatej i różnorodnej, morze błękitne jak w marzeniu, tłum uważnych twarzy, blask jaskrawych barw – wodę odbijającą to wszystko, wygięcie brzegu, pomost, statek krajowców o wysokiej rufie, tkwiący wciąż na wodzie, i trzy łódki ze znużonymi ludźmi z zachodu, pogrążonymi we śnie, nieświadomymi tego kraju i ludu, i gwałtownego blasku słońca. Spali porozkładani w poprzek ławek, zwinięci w kłębek na belkach dna, w niedbałych pozach śmierci. Głowa starego szypra, rozpartego w rufie szalupy, opadła na piersi: wyglądał, jakby nigdy już nie miał się zbudzić.

Dalej znów twarz starego Mahona zwrócona była ku niebu, długa biała broda rozpostarła mu się na piersi – zdawało się, że został zastrzelony tam u rudla; a jakiś majtek, skuliwszy się w dziobie łodzi, spał, obejmując ramionami głowicę stewy przedniej²⁵, z policzkiem przytulonym do burty. Wschód patrzył na nich w głuchym milczeniu.

Poznałem później czar Wschodu; zobaczyłem tajemnicze brzegi, cichą wodę, kraje brunatnych ludów, gdzie Nemezis czyha w ukryciu, ściga, dopada tak wielu z rasy zwycięskiej, pyszniącej się swą mądrością, swą wiedzą, swą siłą. Ale dla mnie cały Wschód zawarł się w tej wizji mojej młodości. Mieści się cały w owej chwili, gdy otworzyłem nań młode oczy. Dotarłem do niego po ciężkiej walce z morzem – i byłem młody – i zobaczyłem, że patrzy na mnie. I oto wszystko, co z tego pozostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, porywającej złudy – młodości!... Błysk słońca na obcym wybrzeżu, trochę czasu, aby wspomnieć, aby westchnąć i – żegnajcie! – Noc – Żegnajcie...!

Wypił.

– Ach! Te dawne, dobre czasy – dawne, dobre czasy. Młodość i morze. Porywający czas złudy – i morze! Dobre, silne morze – słone, gorzkie morze, które szepcze do ciebie i ryczy na ciebie, i wydziera ci ostatni dech.

Wypił znowu.

– I jakże rozstrzygnąć, czy tkwiło to w morzu, jak mi się

²⁵ stewa przednia – zakończenie dziobu łodzi. [przypis edytorski]

zdaje, w samym morzu, czy też w samej młodości? Któż to wie? Ale wy wszyscy tutaj, którzyście mieli coś z życia: pieniądze, miłość – to, co daje ład – powiedzcie mi: czyż to nie najlepsze nasze czasy, gdyśmy – młodzi – byli na morzu; młodzi i nic niemający, na morzu, które nie daje nic prócz ciężkich razów, tylko czasem sposobność odczucia swej siły – jedynie to, czego wam wszystkim żal?

I skinęliśmy wszyscy głowami: człowiek od finansów, człowiek od rachunków, człowiek od prawa – skinęliśmy potakująco głowami nad gładkim stołem, który jak cicha tafla brunatnej wody odbijał nasze twarze, pocięte, pomarszczone; nasze twarze znaczone przez znój, przez doznane zawody, przez powodzenie, przez miłość; nasze zmęczone oczy wyglądające wciąż, wyglądające zawsze, wyglądające niespokojnie czegoś od życia, które już nas minęło – oczekujących – przeszło niespostrzeżenie w westchnieniu, w błysku – razem z młodością i siłą, i romantyzmem złudzeń.

Jądro ciemności

I

Jacht krążowniczy „Nellie” obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przyptyw się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle szkut²⁶, dryfujących w górę z przyptywem, zdawały się tkwić spokojnie w kępkach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowanymi rejkami²⁷. Na niskich brzegach stała mgła, ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posępnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych

²⁶ *szkuta* – niewielki statek rzeczny do przewozu ładunków. [przypis edytorski]

²⁷ *reja* – poziome drzewce, u dołu którego mocowany jest żagiel. [przypis edytorski]

towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku²⁸ tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było nikogo, kto by choć w części wyobrażał postać tak wybitnie marynarską. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem tego, co zasługuje na najwyższe zaufanie. Trudno było sobie wyobrazić, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy, wśród posępnego mroku.

Jednoczyła nas – jak już gdzieś powiedziałem – więź morza. Nie tylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań, a nawet poglądów. Prawnik – najmilszy z towarzyszy – miał ze względu na pokaźną ilość lat i cnót jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce²⁹. Buchalter³⁰ wydobył już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękami leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam

²⁸ bak – górny pokład w dziobowej części statku. [przypis edytorski]

²⁹ derka – gruby koc. [przypis edytorski]

³⁰ buchalter (daw.) – księgowy. [przypis edytorski]

przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspaniałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie, niebo bez żadnej plamki było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zawisła z lesistych wyniosłości w głębi łądu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posepnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając niedostrzegalny łuk, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem ścielącym się posepnie nad ciżbą ludzi.

Woda zmieniła oblicze natychmiast, a pogodna jasność stała się mniej świetna, lecz jakby głębsza. Stara rzeka, rozlana szeroko, wypoczywała bez ruchu u schyłku dnia – po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi – rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nie patrzyliśmy na czcigodną rzekę przelotnym spojrzeniem krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją w dostojnym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy – jak to się mówi – „poświęcili się

morzu” z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przyptyw i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepełnione wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyli się naród, i służyły im wszystkim – od sir Francisa Drake’a³¹ do sir Johna Franklina³² – rycerzom utytułowanym lub nie, wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne kamienie błyszczące w pomroce wieków, od „Złotej Łani³³” powracającej z łonem pełnym skarbów – statku, co po odwiedzinach jej królewskiej mości znika z gigantycznej opowieści – aż do „Erebu” i „Terroru”³⁴, które puściły się na inne podboje, aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith – awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów, znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upełnomocnionych „generałów” wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy

³¹ *Drake, Francis* (1540–1596) – angielski kaper (licencjonowany pirat), żeglarz i polityk brytyjski, jako pierwszy Anglik opłynął kulę ziemską. [przypis edytorski]

³² *Franklin, John* (1786–1847) – brytyjski admirał, badacz Arktyki, zginął w trakcie nieudanej ekspedycji badawczej. [przypis edytorski]

³³ *Złota Łania* – statek, na którym sir Francis Drake opłynął świat. [przypis edytorski]

³⁴ „*Ereb*” i „*Terror*” – statki zaginione razem z całą arktyczną ekspedycją sir Johna Franklina. [przypis edytorski]

ślawy, wszyscy płynęli tą rzeką dzierżąc miecz, a często i pochodnię – wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanym ziem!... Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło, zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej ławicy, rzucała silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem – odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże miasta-olbrzyna znaczyło się wciąż złowieszczo na niebie – posepną mgłą w słońcu, mętnym blaskiem pod gwiazdami.

– A i to miejsce – rzekł nagle Marlow – było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu”. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to że nie był on typowym przedstawicielem swego zawodu. Był marynarzem, ale był również wędrowcem, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi – okręt; tak samo jak ich kraj – morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia, przesuwiają się koło nich przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz

nico pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemniczego – chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbędnym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste, bezpośrednie i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka, lecz otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło – jak blask oświetla opary – na wzór mglistych aureoli widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjeliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

– Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu – wczoraj... Światło biło później z tej rzeki – wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku – oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie³⁵ sobie uczucia dowódcy pięknej

³⁵ wystawić (daw.) – wyobrazić. [przypis edytorski]

– jak to się nazywało? – tryremy³⁶ na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legioniści – musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrotni – budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny³⁷ – a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina³⁸ ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana – zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze tę wyprawę, niewiele o tym myśląc – chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie – jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

³⁶ *tryrema* – trirema, starożytny okręt wojenny z trzema rzędami wiosł. [przypis edytorski]

³⁷ *concertina* – odmiana akordeonu. [przypis edytorski]

³⁸ *falerneńskie wino* – wino z okolic Neapolu. [przypis edytorski]

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze – może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości – zjawia się tutaj w świecie jakiegoś prefekta³⁹ albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Łąduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi ładu czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego – tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

– Zważcie – zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłońią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu – zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Rатуje nas wiara w skuteczność naszej pracy – poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szczycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej

³⁹ *prefekt* – urzędnik rzymski. [przypis edytorski]

chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep – jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę – coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścigały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały – aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie – nic innego nie można było robić aż do końca przyptywu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: – Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach – i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone, nim zacznie się odpływ, wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

– Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego – zaczął, zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje – lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam

znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt moich przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało, i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure i żałosne, i wcale nie nadzwyczajne – i nie bardzo jasne. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich, po porządnej porcji Wschodu – trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie, przeszkadzając kolegom w pracy i nachodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło⁴⁰ misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, lecz wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem – co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

Otóż, kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę i Afrykę lub Australię, pograżając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele miejsc pustych na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie ponętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę”.

⁴⁰ poruczyć (daw.) – powierzyć. [przypis edytorski]

Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zajechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar przysł. Inne znów miejsca były rozrzucone w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem niektóre a nich i... no, nie będziemy o tym mówili. Ale było tam jedno – największe, najbardziej puste, że tak powiem – do którego ciągnęło mnie najsilniej.

Prawda, że w owej chwili to miejsce nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa zapełniły je rzeki i jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią pełną rozkosznej tajemnicy – białą plamą, budzącą w chłopcu wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przede wszystkim jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z tułowiem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi lądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno wystawy, przykuwała mnie ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka – niemądrego, małego ptaszka.

Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka do handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni – bez parowców! Dlaczego bym nie miał się postarać o dowództwo któregoś z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się pozbyć tych myśli. Wąż mnie oczarował.

To handlowe towarzystwo było spółką z kontynentu; ale mam

mnóstwo krewnych na kontynencie, ponieważ – jak mówią – taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

Z przykrością muszę wyznać, że zacząłem swych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czymś zupełnie nowym. Rozumiecie, nigdy nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam, dokąd miałem ochotę. Nie byłbym wierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego, tylko że – widzicie – jakoś czułem, że muszę się tam dostać – tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi” – i nic nie robili. Wówczas – czy uwierzycie? – wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprząłem do roboty kobiety, aby dostać posadę. Słowo daję! No, widzicie – prześladowała mnie ta myśl. Miałem ciotkę, zacną, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotowam zrobić dla Ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracji postawionego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy” – itd., itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie mianują kapitanem rzeczno-parowca, ponieważ taka jest moja fantazja.

Dostałem nominację, oczywiście, i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bójce z krajowcami. To było moje szczęście i tym bardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdy usiłowałem odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem

kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fresleven – tak się ów człowiek nazywał – Duńczyk, uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na łąd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali, zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale przecież znajdował się tam już od paru lat, służąc wzniosłej idei i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego Murzyna; naokoło gapił się tłum skamieniałych krajowców, aż wreszcie jeden z nich – podobno syn naczelnika – słuchając z rozpaczą wrzasków starca, rzucił w białego włócznią dla próby – i oczywiście włócznia uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klęsk, zaś parowiec dowodzony przez Freslevena odplynął również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następcą. Nie mogłem tej sprawy zaniedbać, ale gdy wreszcie nastęrczyła mi się sposobność zetknięcia z mym poprzednikiem, trawa rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie tknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem, czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska spadła istotnie na

wieś. Ludność znikła. Obłąkany strach rozproszył wszystkich – mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gąszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak, wskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem naprawdę jej spodziewać.

Latałem na wszystkie strony jak wariat, aby się przygotować do wyjazdu, i przed upływem czterdziestu ośmiu godzin jechałem już przez kanał dla pokazania się pryncypałom⁴¹ i podpisania kontraktu. W bardzo niewiele godzin przybyłem do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób⁴². Z pewnością to uprzedzenie. Znalazłem bez trudu biura kompanii. Był to największy budynek w mieście i każdy, kogo tylko spotkałem, mówił o tym towarzystwie. Spółka miała się zabrać do założenia zamorskiego cesarstwa i zdobyć nieskończone mnóstwo pieniędzy za pomocą handlu.

Wąska, opustoszała uliczka w głębokim cieniu, wysokie domy, niezliczone okna o weneckich żaluzjach, martwa cisza, trawa między kamieniami, imponujące wjazdowe arkady na prawo i lewo, olbrzymie masywne, nieco uchylone podwoje. Wślizgnąłem się przez jedną z tych szpar, wszedłem po zamiecionych, nagich schodach, jałowych jak pustynia, i otworzyłem pierwsze z napotkanych drzwi. Dwie kobiety,

⁴¹ *pryncypał* (daw.) – zwierzchnik. [przypis edytorski]

⁴² *do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób* – prawdopodobnie mowa tu o Brukseli. [przypis edytorski]

jedna tęga, a druga szczupła, siedziały na krzesłach wyplatanych słomą, robiąc coś na drutach z czarnej wełny. Szczupła podniosła się i szła wprost na mnie ze spuszczonej oczyma – nie przestając poruszać drutami – i dopiero gdy pomyślałem, że trzeba ustąpić jej z drogi jak lunaticzce, zatrzymała się i podniosła oczy. Miała suknię prostą jak futerał od parasola; odwróciła się bez słowa i zaprowadziła mnie do poczekalni. Wymieniłem swoje nazwisko i zacząłem się rozglądać. W środku był stół z sosnowego drzewa, zwykle krzesła stały pod ścianami, w jednym końcu pokoju wisiała wielka, błyszcząca mapa, znaczone wszystkimi kolorami tęczy. Była tam wielka ilość czerwieni – którą zawsze miło jest widzieć, ponieważ z góry wiadomo, że odbywa się tam bardzo konkretna praca – całe mnóstwo błękitu, trochę zieleni, pasma pomarańczowe, a na wschodnim wybrzeżu purpurowa łata, aby pokazać, gdzie weseli pionierzy postępu popijają wesołe piwo lagrowe. Ale nie wybierałem się do żadnego z tych kolorów. Wybrałem się do żółtego. W samym środku mapy – jak strzełił. I rzeka była tam także – przykuwająca – śmiertelna – niby wąż. Brrr!

Otworzyły się drzwi, ukazała się białowłosa głowa sekretarza o współczującym wyrazie twarzy i kościsty palec kiwnął na mnie. Wszedłem do sanktuarium. Światło tu było przyćmione, a ciężkie biurko przykucnęło w środku pokoju. Doznałem wrażenia, że za tym gmachem tkwi blada otyłość w surducie⁴³.

⁴³ *surdut* – rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

Był to ów wielki człowiek we własnej osobie. Liczył zapewne jakieś pięć stóp sześć cali, a dzierżył⁴⁴ w ręku bardzo wiele milionów. Podał mi dłoń, o ile pamiętam, szepnął coś nieokreślonego, wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny⁴⁵. *Bon voyage*⁴⁶.

Po upływie czterdziestu pięciu sekund mniej więcej znalazłem się znów w poczekalni w towarzystwie współczującego sekretarza, który – strapiiony i pełen sympatii – dał mi do podpisania jakiś dokument. Zdaje mi się, że między innymi zobowiązałem się do zachowania wszystkich handlowych sekretów. No i nie zamierzam ich zdradzić.

Zacząłem odczuwać lekki niepokój. Wiecie, że nie jestem przyzwyczajony do takich ceremonii, a przy tym w tej atmosferze było coś złowieszczonego. Zupełnie jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek – nie umiem tego określić – jakby coś było niezupełnie w porządku; cieszyłem się, kiedym się stamtąd wydostał. W przyległym pokoju owe dwie kobiety robiły gorączkowo na drutach coś z czarnej wełny. Zjawiali się interesanci i młodsza z kobiet, wprowadzając ich, chodziła tam i na powrót. Stara siedziała na krześle. Płaskie sukienne pantofle oparła o ogrzewacz do nóg, a na jej kolanach spoczywał kot. Na głowie miała jakąś białą, wykrochmaloną historyjkę, brodawkę

⁴⁴ *dzierżyć* (daw.) – trzymać. [przypis edytorski]

⁴⁵ *wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny* – Conrad wielokrotnie podkreśla, że bohaterowie opowieści Marlowa rozmawiają ze sobą po francusku. [przypis edytorski]

⁴⁶ *bon voyage* (fr.) – dobrej podróży. [przypis edytorski]

na policzku i okulary w srebrnej oprawie zsunięte na koniec nosa. Popatrzyła na mnie znad szkieł. Zmieszał mnie obojętny spokój tego szybkiego spojrzenia. Wprowadzono właśnie dwóch młodzików o głupkowatych, wesołych twarzach, a stara rzuciła im takie samo szybkie spojrzenie, mądre i obojętne. Zdawało się, że wie o nich wszystko, a także i o mnie. Poczułem zabobonny lęk. Wydała mi się niesamowita i złowroga. Często – gdy byłem już daleko – myślałem o tych dwóch kobietach, odźwiernych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznanne, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze. *Ave!* stara pracownico, migająca drutami nad czarną przędzą. *Morituri te salutant.*⁴⁷ Niewielu z tych, na których spojrzała, zobaczyło ją znowu – znacznie mniej niż połowa.

Czekała mnie jeszcze wizyta u doktora. „Prosta formalność” – zapewnił mnie sekretarz z takim wyrazem twarzy, jak gdyby brał pokaźny udział we wszystkich moich strapieniach. Jakiś młodzik w kapeluszu naciśniętym na lewą brew, zapewne urzędnik – musieli tam być i urzędnicy w tej spółce, choć dom był cichy, jakby się znajdował w mieście umarłych – zeszedł skądś z góry i poprowadził mnie. Obszarpany był i zaniedbany, rękawy kurtki miał poplamione atramentem, a pod brodą, przypominającą czubek starego buta, tkwił wielki, falisty krawat. Na doktora

⁴⁷ *Ave!* [...] *Morituri te salutant* (łac.) – Witaj... pozdrawiają cię idący na śmierć (tradycyjny okrzyk gladiatorów na widok cesarza). [przypis edytorski]

było jeszcze trochę za wcześnie, więc zaproponowałem, żebyśmy się czegoś napili, dzięki czemu mój towarzysz puścił wodze swej wesołości. Gdyśmy już siedzieli przy kieliszkach wermutu, zaczął się unosić nad interesami spółki; od słowa do słowa, wyraziłem mimochodem zdziwienie, że on sam nie wybiera się do Afryki. Ochłódł natychmiast i stał się bardzo opanowany.

– Nie taki dureń ze mnie, na jakiego wyglądam, rzekł Platon do swoich uczniów – powiedział sentencjonalnie i wychylił kieliszek z wielką stanowczością, po czym wstaliśmy z miejsc.

Stary doktor wziął mnie za puls, myśląc najwidoczniej zupełnie o czym innym.

– W porządku, może pan jechać – mruknął i zapytał z pewną skwapliwością⁴⁸, czy bym mu nie pozwolił zmierzyć swej głowy. Odrzekłem: „dobrze” – nieco tym zaskoczony, a on wyciągnął coś w rodzaju cyrkla i zrobił pomiary z tyłu, z przodu i ze wszystkich stron, notując starannie. Był to nieogolony człowieczek w wytartym kaftanie podobnym do oponczy i pantoflach; wyglądał na nieszkodliwego durnia.

– W interesie nauki – rzekł – proszę zawsze tych, którzy tam jadą, aby mi pozwolili zmierzyć swe czaszki.

– A gdy wracają, robi pan to samo? – zapytałem.

– Ach, nigdy się już z nimi nie stykam – zauważył – a przy tym, widzi pan, zmiany zachodzą w środku. – Uśmiechnął się jak po wypowiedzeniu przyjemnego żartu. – Więc pan tam jedzie. Świetnie. To bardzo zajmujące. – Spojrzał na mnie badawczo

⁴⁸ *skwapliwość* – ostentacyjna gotowość a. pośpiech. [przypis edytorski]

i znów coś zanotował. – Czy nie było kiedy w pańskiej rodzinie wypadku obłąkania? – zapytał rzeczowym tonem.

Zaczynało mnie to mocno drażnić.

– Pan pyta o to również w interesie nauki?

– Byłoby rzeczą zajmującą – odrzekł, nie zwracając uwagi na moje rozdrażnienie – gdyby można dla celów naukowych śledzić tam, na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach, ale...

– Czy pan jest psychiatrą? – przerwałem.

– Każdy lekarz powinien być trochę psychiatrą – odparł z niewzruszonym spokojem oryginał. – Mam pewną teorię, do której udowodnienia wy, panowie, udający się tam, musicie mi pomóc. To jest mój udział w korzyściach, jakie kraj mój⁴⁹ powinien osiągnąć z posiadania tej wspaniałej kolonii⁵⁰. Bogactwa zostawiam innym. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale pan jest pierwszym Anglikiem, który się dostaje pod moją obserwację...

Pospieszyłem go zapewnić, że nie jestem bynajmniej typowy.

– Gdyby tak było – rzekłem – nie rozmawiałbym z panem w ten sposób.

– To, co pan mówi, jest dość głębokie i prawdopodobnie błędne – rzekł ze śmiechem. – Niech pan się wystrzega

⁴⁹ *kraj mój* – mowa o Belgii, której król, Leopold II (1835–1909), władał również Wolnym Państwem Kongo, prowadząc tam rabunkową gospodarkę i ludobójczą politykę. [przypis edytorski]

⁵⁰ *tej wspaniałej kolonii* – mowa o Wolnym Państwie Kongo, funkcjonującym w latach 1885–1908. [przypis edytorski]

irytacji jeszcze bardziej niż przebywania na słońcu. *Adieu*⁵¹. Jak to mówicie po angielsku, co? *Good-bye*⁵². Aha! *Good-bye*. *Adieu*. Pod zwrotnikami trzeba przede wszystkim zachowywać spokój... – Podniósł ostrzegawczo palec... – *Du calme, du calme*⁵³. *Adieu*.

Pozostawało mi jeszcze jedno – pożegnać się z moją zacną ciotką. Zastałem ją tryumfującą. Wypiłem filiżankę herbaty – ostatnią filiżankę porządnej herbaty na długi przeciąg czasu – i w pokoju, który wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażamy kobiecy salon, co podziałało na mnie niezmiernie kojąco, ucieliśmy przy kominku długą, spokojną gawędę. W ciągu tych zwierzeń zrozumiałem, że opisano mnie żonie wysokiego dygnitarza – i poza tym Bóg raczy wiedzieć ilu innym osobom – jako wyjątkową i szczególnie obdarzoną przez los istotę, człowieka opatrnościowego dla spółki, jakiego się często nie spotyka. Miłosierny Boże! a ja miałem objąć komendę na jakimś tam marnym rzeczonym parowcu, zaopatrzonym w taniutką gwizdawkę. Okazało się przy tym, że jestem także Działaczem, przez duże „D” – rozumiecie. Niby wysłańcem świata, niby apostołem pośledniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masę takich bredni w druku i słowie i zacna moja ciotka, żyjąca pośrodku tej całej blagi, straciła równowagę. Póty rozprawiała o tym, że „trzeba odzwyczaić

⁵¹ *adieu* (fr.) – do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

⁵² *good-bye* (ang.) – do widzenia. [przypis edytorski]

⁵³ *Du calme, du calme* (fr.) – spokojnie, spokojnie. [przypis edytorski]

miliony tych ciemnych ludzi od ohydneho ich życia”, aż wreszcie – daję wam słowo – zrobiło mi się jakoś głupio. Ośmieliłem się nadmienię, że przecię spółka została założona dla zysku.

– Zapominasz, kochany Charlie, że każda praca zasługuje na zapłatę – rzekła wesoło.

To ciekawe, jak dalece kobiety nie mają poczucia rzeczywistości. Żyją we własnym świecie, który właściwie nigdy nie istniał i istnieć nie może. Jest na to o wiele za piękny, a gdyby można taki świat zbudować, rozleciałby się przed zachodem słońca. Pierwszy lepszy nieznośny fakt, z którym my mężczyźni współżyjemy zgodnie od chwili stworzenia, wyrwałby się i dałby w łeb całej historii.

Zostałem uściskany, przykazano mi, abym nosił flanelę, abym często pisywał i tak dalej – i pożegnałem się. Na ulicy – nie wiem dlaczego – opanowało mnie dziwne wrażenie, iż jestem oszustem. Szczególna rzecz, że ja, który przywykłem był wyruszać w jakąkolwiek stronę świata w przeciągu dwudziestu czterech godzin, poświęcając temu mniej uwagi niż inni przejściu na drugą stronę ulicy, miałem chwilę, nie powiem wahania, ale ociągania się i lęku wobec takiej zwykłej historii. Najlepiej wam to wytłumaczę, gdy powiem, że przez parę sekund doznałem uczucia, jakbym się wybierał nie do środka jakiegoś kontynentu, ale do środka ziemi.

Wsiadłem na francuski parowiec, który zajeżdżał do wszystkich zakazanych portów, jakie Francuzi mają tam po drodze – jedynie po to, o ile się mogłem połapać, aby wysadzać

na ład żołnierzy i urzędników komory celnej. Przypatrywałem się wybrzeżu. Obserwowanie brzegu, który przesuwa się koło okrętu, przypomina rozwiązywanie zagadki. Oto leży przed wami wybrzeże, uśmiechnięte, chmurne, powabne, wspaniałe, nędzne, banalne albo dzikie – a zawsze nieme, choć zdaje się szeptać: chodź i przekonaj się. Ten zaś brzeg był prawie zupełnie bez charakteru, jakby się jeszcze nie ukształtował, a wygląd miał ponury i monotony. Skraj olbrzymiej dżungli – o zieleni tak ciemnej, że wydawała się prawie czarna – obramowany białą frędzlą nadbrzeżnych fal, biegł prosto jak nakreślony przy pomocy linii – daleko, hen, daleko wzdłuż błękitnego morza, którego połysk był przyćmiony przez pełzającą mgłę. Słońce paliło okrutnie, ziemia zdawała się błyszczeć i ociekać kroplami pary. Gdzieś tam popielato-białe plamki ukazywały się grupkami na wybrzeżu poza białą linią fal; czasem powiewała nad nimi flaga. Były to osady liczące po kilka wieków, a jednak nie większe niż główki od szpilek na nietkniętym obszarze kraju. Statek sunął ciężko wzdłuż brzegu, zatrzymywał się, wysadzał żołnierzy; jechał dalej, wysadzał urzędników komory celnej, aby pobierali cło na wybrzeżu, które wyglądało jak pustka zapomniana przez Boga, z zagubioną w niej blaszaną szopą i słupem od flagi; i znów wysadzał żołnierzy – prawdopodobnie, aby pilnowali urzędników komory celnej. Mówiono mi, że kilku z nich utonęło w nadbrzeżnych falach, ale nikt nie zdawał się o to troszczyć. Wyrzucono ich tam po prostu i jechaliśmy dalej. Dzień po dniu brzeg wyglądał tak samo, jakbyśmy

nie poruszali się wcale; przejeżdżaliśmy koło różnych miejsc – osad handlowych – o nazwach takich jak Gran’Bassam, Little Popo; nazwach, które zdawały się należeć do jakiejś plugawej farsy odgrywanej na tle posepnej kurtyny. Bezczytność pasażera, osamotnienie wśród tych wszystkich ludzi, z którymi nie miałem żadnych punktów stykowych, oleiste i leniwe morze, jednostajna posepność wybrzeża, trzymały mnie jakby z dala od rzeczywistości – uwikłanego w sieci żałobnej i bezsensownej ułudy. Głos nadbrzeżnych fal, dochodzący niekiedy, stanowił dla mnie prawdziwą przyjemność jak odezwanie się brata. Był to objaw naturalny, coś, co miało swoją przyczynę i jakieś znaczenie. Niekiedy łódź z wybrzeża dawała mi chwilowy kontakt z rzeczywistością. Wiosłowali w niej czarni ludzie. Można było dojrzeć z daleka połyskujące białka ich oczu. Krzyczeli, śpiewali; ciała ich oblewał pot, twarze przypominały groteskowe maski; ale mieli kości, muskuły, dziką żywotność, intensywną energię w ruchach, co było równie naturalne i prawdziwe, jak fale rozbijające się o brzeg. Ich obecność nie wymagała usprawiedliwienia. Widok tych ludzi stanowił wielką pociechę. Przez pewien czas czułem, że należę jeszcze do świata prostych faktów; ale to nie trwało długo. Zawsze coś zaszło i przepłoszyło to uczucie. Raz, pamiętam, natknęliśmy się na statek wojenny zakotwiczony daleko od brzegu. Na lądzie nie było nawet szopy, a jednak statek obrzucał gąszcz pociskami. Okazało się, że Francuzi prowadzą wojnę w tamtych okolicach. Flaga statku zwisała jak łachman; lufy długich, sześciocalowych

armat wystawały ze wszystkich stron niskiego kadłuba; statek wznosił się leniwie i opadał na tłustej, mulistej fali, chwiejąc cienkimi masztami. Wśród niezmierzonej pustki ziemi, nieba i wody tkwił ten niepojęty okręt i strzelał w głąb kontynentu. Bum! odzywała się jedna z sześciocalowych armat; drobny płomyk wyskakiwał i znikał, niewielki kłęb białego dymu rozpływał się w powietrzu, drobny pocisk zaskrzeczał słabo – i nic nie następowało. Nic nastąpić nie mogło. Było w tym coś obłąkanego, widok ten przypominał ponurą krotochwilę⁵⁴ i nie rozproszył tego wrażenia jakiś człowiek z pokładu zapewniający mnie poważnie, że tam jest obóz krajowców – nazywał ich nieprzyjaciółmi! – ukryty gdzieś w głębi.

Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że ludzie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech dniach) i popłynęliśmy dalej. Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gdzie śmierć i handel wiodą wesóły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach⁵⁵; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża obramionego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek – strumieni śmierci toczących się wśród życia – których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone

⁵⁴ *krotochwila* (daw.) – żart. [przypis edytorski]

⁵⁵ *katakumby* – podziemne korytarze, w okresie wczesnochrześcijańskim często spełniające funkcje cmentarzy. [przypis edytorski]

w szlam, ogarniały poskręcane mangrowce⁵⁶, zdające się wic przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpacz. Nie zatrzymaliśmy się nigdzie tak długo, aby można było doznać jakichś szczególnych wrażeń, ale ogólne uczucie nieokreślonego i dotkliwego zdziwienia wciąż we mnie wzrastało. Była to jakby uciążliwa pielgrzymka wśród zapowiedzi nocnych zmór.

Minęło z górą trzydzieści dni, nim zobaczyłem ujście wielkiej rzeki⁵⁷. Zapuściliśmy kotwicę naprzeciw siedziby rządowej⁵⁸. Ale moja praca miała się zacząć dopiero o jakieś dwieście mil dalej. Toteż wyruszyłem możliwie najprędzej do miejscowości położonej trzydzieści mil w górę rzeki.

Odbyłem drogę na małym morskim parowcu. Kapitan, Szwed, wiedział, że jestem marynarzem, i zaprosił mnie na mostek. Był to człowiek młody, szczupły, nasępiiony blondyn; włosy miał rzadkie i powłóczył nogami. Gdyśmy odbijali od lichego, małego pomostu, wskazał pogardliwie głową na brzeg.

– Mieszkał pan tam? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem.

– Niezłe okazy ci rządowi faceci, co? – mówił dalej po angielsku z wielką precyzją i głębokim rozgoryczeniem. – To ciekawe, czego się niektórzy ludzie nie podejmą za parę franków na miesiąc. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z takimi osobnikami, kiedy się znajdują tam, w górze rzeki?

⁵⁶ mangrowce – namorzyny, roślinność przybrzeżna. [przypis edytorski]

⁵⁷ ujście wielkiej rzeki – mowa o rzece Kongo. [przypis edytorski]

⁵⁸ siedziba rządowa – Boma, stolica Konga Belgijskiego. [przypis edytorski]

Odrzekłem, że mam nadzieję wkrótce się o tym przekonać.

– Więc to ta-a-k! – wykrzyknął. Przeszedł w poprzek statku powłócząc nogami i zerkając czujnie ku przodowi. – Niech pan nie będzie zanadto pewien siebie – mówił dalej. – Parę dni temu odczepiłem człowieka, który się powiesił na drodze. Był to także Szwed.

– Powiesił się! Dlaczego, na miłość boską? – wykrzyknąłem. Kapitan patrzył wciąż bacznie ku przodowi.

– Któż to wie? Może nie mógł znieść tutejszego słońca, a może i kraju.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała. Ukazało się skaliste urwisko, wały wydobytej ziemi na brzegu, domy na wzgórzu; inne domki o żelaznych dachach tkwiły wśród pustki porytej wykopanymi jamami lub przywierały do stoku. Nieustanny szum bystrego nurtu rzeki unosił się nad tym wizerunkiem zamieszkałej pustyni. Gromada ludzi, przeważnie czarnych i nagich, roiła się jak mrówki. Pomost wstępował w rzekę. Od czasu do czasu oślepiające słońce zalewało nagle to wszystko wzmocnionym jeszcze blaskiem.

– Oto stacja waszej spółki – rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. – Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnam pana.

Natknąłem się na kocioł poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika

przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Wagonik wyglądał tak martwo, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozlatujące się maszyny, na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymrużyłem oczy; ścieżka była stroma. Na prawo zadźwięczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłęb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkadzać w robocie, ale bezcelowe jej wysadzanie było całą pracą, jaką wykonywano.

Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych ludzi; stawy ich członków⁵⁹ wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrozę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczonego huk; ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi

⁵⁹ członki (daw.) – kończyny. [przypis edytorski]

– nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły z za morza – niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały równocześnie, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców – rezultat działania nowych sił – włókł się zgębiony, trzymając strzelbę przez środek. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na odległość bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu ludzi. Jakby poczuwał się do koleżeństwa ze mną w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również częścią wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim znów zacznę się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadło mi nieraz i zadawać ciosy, i odbierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem

atakować – co jest tylko pewną formą obrony – nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami życia, w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy i szatana chciwości, i szatana pożądlivosti; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rządzą i powodowali⁶⁰ ludźmi – ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam, na zboczu wzgórza, poczułem, że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznam się z rozlazłym, kłamliwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytry umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mnie ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schodzić na ukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom, które przedtem widziałem.

Obszedłem wielką dziurę, wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wybrano piasek. Była to po prostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnym⁶¹ zamiarem dostarczenia zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do bardzo wąskiej szczeliny, wyglądającej na zboczu jak nieznaczną bliznę. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowadzonych dla⁶² zdrenowania⁶³ osady. Potłukły się co do

⁶⁰ *powodować* (daw.) – kierować. [przypis edytorski]

⁶¹ *filantropijny* – miłosierny. [przypis edytorski]

⁶² *dla* (daw.) – w celu. [przypis edytorski]

⁶³ *zdrenować* – (o glebie) wysuszyć, odprowadzając nadmiar wody. [przypis

jednej. Był to objaw rozpasanego niszcycielstwa.

Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powałęsać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś *inferno*⁶⁴. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepełniający tajemniczym rytmem żałobny spokój gaju, jak gdyby gwałtowny rytm rozpędzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najbliższego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

Czarne kształty czołgały się, leżały siedziały między drzewami, opierając się o pnie, tuliły się do ziemi – to widzialne, to przesłonięte mętnym półmrokiem – we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Rozległ się znowu wybuch miny w skale i ziemia wzdrygnęła się lekko pod moimi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć.

Umierali powoli – to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego – były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzućni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą, osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpęznąć i wypoczywać. Te konające

edytorski]

⁶⁴ *inferno* (wł.) – piekło. [przypis edytorski]

postacie były wolne jak powietrze – i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się z wolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne; w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światełko i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego – był to prawie chłopiec – ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go – był to ostatni ruch, jaki dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przędzy. Dlaczego? Skąd je wy dostał? Czy to był jakiś znak szczególny – czy ozdoba – czy amulet – czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przędzy zza mórz wyglądała dziwnie niepokojąco na czarnej szyi.

Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem; inne jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru⁶⁵.

⁶⁵ mór – zaraza. [przypis edytorski]

Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popęzła na czworakach w stronę rzeki, aby się napić. Chłęptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi.

Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysoki, nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpakową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro.

Podałem dłoń temu cudu i dowiedziałem się, że to jest główny buchalter⁶⁶ spółki i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Powiedział, iż wyszedł tylko na chwilę, aby „odetchnąć świeżym powietrzem”. To wyrażenie brzmiało bardzo dziwacznie, budząc asocjacje⁶⁷ biurowego, siedzącego życia. Nie byłbym wam wcale wspominał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozzerwalnie się łączy z moimi wspomnieniami z tego okresu. A przy tym czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów,

⁶⁶ *buchalter* (daw.) – księgowy. [przypis edytorski]

⁶⁷ *asocjacja* – skojarzenie. [przypis edytorski]

wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak lalka od fryzjera, ale wśród wielkiego rozprężenia w całym kraju dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego nakrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił tu już blisko trzy lata; i nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wytrzasnął taką bieliznę? Zaczerwienił się leciutko i rzekł skromnie:

– Wyuczyłem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota.

Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przy tym był szczerze oddany swoim księgom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

Poza tym wszystko na stacji było w nieładzie – głowy, rzeczy, budynki. Długie sznury pokrytych kurzem Murzynów o płaskich stopach przybływały i odchodziły; potok wszelakiej manufaktury⁶⁸, lichych perkali⁶⁹, paciorków i miedzianego drutu odpływał w głąb ciemności, skąd sączyła się w zamian drogocenna kość słoniowa.

Musiałem czekać na stacji przez dziesięć dni – całą wieczność. Mieszkałem w chacie na dziedzińcu, ale żeby się wyrwać czasem z tego chaosu, zawadzałem o biuro buchaltera. Zbudowane było z poziomych desek tak lichy dopasowanych, że gdy buchalter pochylał się nad wysokim swoim pulpitem, poprzekreślany był od stóp do głów wąskimi paskami światła.

⁶⁸ *manufaktura* – tu: wyroby. [przypis edytorski]

⁶⁹ *perkal* – rodzaj cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

W pokoju było jasno bez otwierania wielkiej okiennicy. Przy tym panował tam upał; wielkie muchy brzęczały szatańsko i nie kłuły, lecz raniły. Siadywałem zwykle na podłodze, podczas gdy buchalter o nieskazitelnej powierzchowności (nieco nawet uperfumowany) sterczał na wysokim stołku i pisał. Czasem wstawał, aby rozprostować kości. Gdy wtaczano łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zasłabł w górnych okolicach rzeki), przejawiał lekkie rozdrażnienie.

– Jęki chorego – mówił – rozpraszają moją uwagę. A bez tego niezmiernie jest trudno ustrzec się błędów w tym klimacie.

Pewnego dnia zauważył, nie podnosząc głowy:

– Tam w głębi kraju spotka się pan z pewnością z Kurtzem⁷⁰. – Gdy zapytałem, kim jest Kurtz, odrzekł, że to jeden z głównych agentów; spostrzegłszy, iż ta informacja rozczarowała mnie, dodał powoli, odkładając pióro: – Bardzo wybitny człowiek. – Dowiedziałem się dalej od niego, że Kurtz jest kierownikiem handlowej stacji, bardzo ważnej stacji, we właściwym kraju kości słoniowej, w samym centrum. Przysyła tyle kości słoniowej, co wszyscy inni razem wzięci...

Zaczął znów pisać. Z chorym było tak źle, że nawet nie jęczał. Muchy bzykały wśród wielkiego spokoju.

Nagle usłyszałem wzrastający gwar i głośny tupot kroków. Przybyła karawana. Gwałtowny bełkot złożony z dziwacznych

⁷⁰ Kurtz – wg niektórych interpretatorów nazwisko znaczące; Kurtz (niem.: krótki) miałoby być imieniem diabła z ludowych podań, podobnie jak polskie „Kusy”. [przypis edytorski]

dźwięków wybuchnął po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie, a wśród tego hałasu rozległ się żaloszny głos głównego agenta, który wołał po raz dwudziesty tego dnia, że „ma już tego dosyć”... Wstał powoli z krzesła.

– Cóż to za okropny hałas – powiedział. Przeszedł po cichu przez pokój, aby spojrzeć na chorego, i rzekł do mnie wracając:

– On nie słyszy.

– Jak to, umarł? – spytałem przestraszony.

– Nie, jeszcze nie – odrzekł z wielkim spokojem. Potem dodał kiwnąwszy głową w stronę zgiełku na dziedzińcu: – Kiedy człowiek musi wciągać, jak się należy, pozycje, zaczyna czuć do tych dzikich nienawiść – śmiertelną nienawiść. – Zamyślił się na chwilę. – Jak pan zobaczy Kurtza – ciągnął dalej – niech mu pan powie ode mnie, że wszystko tutaj – spojrzał na pulpit – jest w zupełnym porządku. Nie lubię pisać do niego, z tymi naszymi posłańcami nie wiadomo nigdy, do czyich rąk list może się dostać tam, na tej stacji centralnej⁷¹. – Patrzył we mnie przez chwilę łagodnymi, wypukłymi oczyma. – O, ten to zajdzie daleko, bardzo daleko – zaczął znów. – Zajmie wkrótce ważne stanowisko w administracji. Postanowili tak ci u góry, rada spółki w Europie, rozumie pan.

Zabrał się znów do pracy. Hałas na zewnątrz ustał; wychodząc z chaty, zatrzymałem się na progu. Wśród spokojnego brzęczenia much agent wracający do kraju leżał czerwony i nieczuły na

⁷¹ na tej stacji centralnej – mowa o Leopoldville (obecnie Kinszasa). [przypis edytorski]

wszystko; drugi zaś, pochylony nad swymi księgami, wciągał poprawnie pozycje różnych idealnie poprawnych transakcji; a pięćdziesiąt stóp poniżej progu chaty widać było nieruchome wierzchołki drzew z gaju śmierci.

Następnego dnia opuściłem nareszcie stację razem z karawaną złożoną z sześćdziesięciu ludzi, wyruszając na dwustumilowy marsz piechotą.

Nie warto rozwodzić się nad tym. Wszędzie ścieżki i ścieżki; wydeptana sieć ścieżek snujących się po pustym kraju przez wysoką trawę, przez spaloną trawę, przez gąszcz, na dół i w górę przez chłodne wąwozy, w górę i na dół po kamienistych pagórkach rozprażonych przez upał; a przy tym samotność, zupełna samotność – nikogo, ani jednej chaty. Ludność wyniosła się stamtąd już dawno. Gdyby tak cała masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych w straszliwy oręż wszelakiego rodzaju, zaczęła nagle podróżować drogą między Deal a Gravesend, łapiąc parobków na prawo i lewo do dźwigania ciężkich juków, wyobrażam sobie, że każdy folwark i każda wieś w tych okolicach opróżniłyby się bardzo szybko. Ale tutaj i zabudowania znikły również. Przechodziłem jednak przez kilka opuszczonych wsi. Jest coś wzruszająco dziecinnego w ruinach ścian z trawy. Dzień po dniu słyszałem za sobą tupot i szelest sześćdziesięciu par bosych nóg, a każda para dźwigała sześćdziesięciofuntowy ciężar. Rozbijanie obozu, gotowanie, sen, zwijanie obozu, marsz. Od czasu do czasu znajdowaliśmy Murzyna spoczywającego w wysokiej trawie blisko ścieżki – tragarza, który padł martwy

w uprzęży, a obok niego pustą tykwę⁷² na wodę i długi kij. Wielka cisza naokoło nas i w górze. Niekiedy wśród spokojnej nocy drganie dalekich bębnow, to wznoszące się, to opadające drganie rozległe i słabe; dźwięk dziwaczny, pociągający, wymowny i dziki – o znaczeniu może równie głębokim jak dźwięk dzwonów w kraju chrześcijańskim.

Spotkaliśmy raz białego w rozpiętym mundurze, obozującego na ścieżce ze zbrojną eskortą złożoną z wychudłych Zanzibarczyków; bardzo był gościnnie i podochocony, żeby nie powiedzieć – pijany. Oświadczył, że pilnuje porządku na drogach. Nie mogę powiedzieć, abym widział jaką drogę lub jakikolwiek porządek, chyba że ciało Murzyna w średnim wieku – z dziurą od kuli w czole – o które dosłownie potknąłem się trzy mile dalej, można uznać za trwałe zaprowadzenie porządku.

Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale nieco zbyt otyły; miał przy tym nieznośny zwyczaj: mdlał na rozpalonych zboczach, w odległości całych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie, że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu w ogóle wybrał.

– Żeby zrobić pieniądze, naturalnie, a cóż pan sobie myśli? – odrzekł pogardliwie.

⁷² *tykwa* – twarda okrywa owocu rośliny o tej samej nazwie, stosowana jako pojemnik na wodę. [przypis edytorski]

Potem dostał gorączki i trzeba go było nieść w hamaku zawieszonym na tyce. Ponieważ ważył dwieście dwadzieścia cztery funty⁷³, miałem ciągle awantury z tragarzami. Narowili się, uciekali, wymykali się ze swymi jukami w ciemność – coś zupełnie podobnego do buntu. Tedy pewnego wieczoru wyciąłem do nich po angielsku mowę z gestami, z których ani jeden nie uszedł sześćdziesięciu parom oczu patrzących we mnie, i następnego dnia wyprawiłem hamak jak się patrzy na czele karawany. W godzinę później natknąłem się na ten cały interes porzucony w krzakach – na mego towarzysza, hamak, jęki, kołdry, przerażenie. Ciężka tyka zdarła mu skórę z biednego nosa. Nalegał usilnie, abym kogoś zabił, ale w pobliżu nie było ani śladu tragarza. Przypomniałem sobie starego doktora: „Z punktu widzenia nauki byłoby ciekawe śledzić na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach”. Czułem, że staję się interesujący dla nauki. Ale to nie należy do rzeczy.

Piętnastego dnia ujrzałem znów wielką rzekę i dowlokłem się, kulejąc, do stacji centralnej. Znajdowała się nad małą zatoczką, wśród krzewów i lasu; z jednej strony przylegało do niej miłe, woniejące bagno, z trzech pozostałych była otoczona popękany płotem z sitowia. Zaniedbany otwór w płocie stanowił jedyną bramę i wystarczyło rzucić okiem, aby się przekonać, że to rozlazły diabeł tu włada. Biali ludzie z długimi kijami w rękach wysunęli się ospale spośród budynków, przywlekli

⁷³ *funt* – brytyjska miara masy, obecnie ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

się, aby na mnie spojrzeć, i znikli z widoku. Jeden z nich, tęgi, porywczy facet o czarnych wąsach, dowiedziawszy się, kim jestem, poinformował mnie bardzo potoczyście, odbiegając często od tematu, że parowiec mój znajduje się na dnie rzeki. Spiorunowała mnie ta wiadomość. Co? jak to, dlaczego? O, „wszystko w porządku”. „Sam dyrektor” był przy tym. Nie ma podstaw do żadnych zarzutów.

– Wszyscy zachowali się wspaniale, wspaniale! Musi pan pójść i zobaczyć się natychmiast z głównym dyrektorem – ciągnął podniecony. – On czeka na pana!

Nie od razu zrozumiałem właściwe znaczenie tego rozbicia. Mam wrażenie, że już teraz rozumiem, ale pewny nie jestem bynajmniej. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że ten wypadek był naprawdę zbyt nedorzeczny, aby mógł być zupełnie naturalny. A jednak... Ale w owej chwili wyglądał po prostu jak jakaś przeklęta przeszkoda. Parowiec zatonął. Przed dwoma dniami wyruszyli w nagłym pośpiechu w górę rzeki z dyrektorem na pokładzie, pod komendą jakiegoś ochotniczego kapitana, i zanim upłynęły trzy godziny, wybili o kamienie dno statku, który zatonął przy południowym brzegu.

Zapytałem siebie, co tu mam właściwie do roboty, teraz, gdy statek mój przepadł. A w rzeczywistości czekała moc pracy przy wyławianiu z rzeki mego dowództwa. Musiałem wziąć się do tego zaraz na drugi dzień. Wydobycie statku, a potem naprawa, gdy już sprowadziłem na stację wszystkie części parowca, trwały kilka miesięcy.

Pierwsza moja rozmowa z dyrektorem była ciekawa. Nie poprosił wcale, abym usiadł, choć przeszedłem tego ranka dwadzieścia mil. Miał pospolitą cerę, pospolite rysy, maniery i głos. Wzrostu był średniego, budowy przeciętnej. Jego oczy, zwykłego niebieskiego koloru, były chyba szczególnie zimne, a spojrzenie – gdy chciał – spadało na człowieka ostre i ciężkie jak topór. Ale nawet i wówczas reszta jego osoby zdawała się temu przeczyć. Tylko na jego ustach błędził jakiś nieokreślony, nikły wyraz – coś ukradkowego – uśmiech, nie uśmiech; pamiętam go, ale nie umiem wytłumaczyć. Ten uśmiech był nieświadomy, choć stawał się wyraźniejszy w chwili, gdy dyrektor kończył coś mówić. Zjawiał się jak pieczęć przyłożona do słów, aby znaczenie najzwyklejszego zdania uczynić zupełnie nieprzeniknionym. Ów dyrektor był to zwykły sobie kupiec pracujący od dzieciństwa w tych okolicach – i nic więcej. Słuchano go, ale nie wzbudzał ani przywiązania, ani trwogi, ani nawet szacunku. Wzbudzał niepokój. Otóż to właśnie! Niepokój. Nie było to wyraźne niedowierzanie – po prostu niepokój, nic więcej. Nie macie pojęcia, jak skuteczna może się stać taka... taka... właściwość. Nie miał zmysłu organizacyjnego ani inicjatywy, ani nawet zamiłowania do ładu. Wychodziło to na jaw w takich rzeczach, jak na przykład opłakany stan stacji. Nie był wykształcony, nie był inteligentny. Dlaczego dostał się na to stanowisko? Może dlatego, że nigdy nie chorował... Przesłużył w tamtych okolicach trzy okresy po trzy lata... Dlatego, że świetne zdrowie wśród ogólnego pogromu organizmów jest już

samo przez się rodzajem potęgi. Gdy udawał się do kraju na urlop, hulał wystawnie – na wielką skalę. Niby marynarz na urlopie – z pewną jednak różnicą – czysto zewnętrzną. Można było się tego domyślić z jego przygodnych opowiadań. Nie potrafił nic stworzyć, umiał tylko korzystać z rutyny – i to wszystko. Ale był wielki. Był wielki dzięki drobnej rzeczy polegającej na tym, że niepodobna było dociec, co może mieć władzę nad takim człowiekiem. Nie zdradził nigdy tej tajemnicy. A może nie tkwiło w nim po prostu nic. Takie podejrzenie trzymało człowieka w szachu – bo zewnętrznej kontroli nie było. Raz, kiedy przeróżne tropikalne choroby położyły prawie wszystkich „agentów” na stacji, usłyszano, jak dyrektor mówił:

– Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie powinni mieć wnętrzości.

Przypieczętował właściwym sobie uśmiechem tę enuncjację⁷⁴, jakby to były drzwi otwierające się na ciemność, przy których pełnił funkcję odźwiernego. Zdawało się człowiekowi, że coś ujrzał – ale leżała na tym pieczęć. Gdy mu dokuczyły ustawiczne kłótnie białych o pierwszeństwo przy stole, kazał zrobić olbrzymi okrągły stół, dla którego trzeba było zbudować oddzielny dom. Była to jadalnia stacji. Tam gdzie siedział dyrektor, znajdowało się pierwsze miejsce – reszta się nie liczyła. Czuło się, że to niezłomne jego przekonanie. Nie był ani uprzejmy, ani nieuprzejmy. Był spokojny. Pozwalał, aby jego „boy⁷⁵” –

⁷⁴ *enuncjacja* – deklaracja. [przypis edytorski]

⁷⁵ *boy* – tu: służący (dosł. ang.: chłopiec). [przypis edytorski]

spasiony młody Murzyn z wybrzeża – traktował białych w jego obecności z wyzywającą zuchwałością.

Zobaczywszy mnie dyrektor zaczął natychmiast mówić. Moja podróż przeciągnęła się bardzo długo. Nie mógł już czekać. Musiał wyruszyć beze mnie. Trzeba było zluzować ludzi na stacjach położonych wyżej nad rzeką. Tak długo się już zwlekało, że nie wiadomo, kto umarł, a kto żyje, jak tam sobie radzą – i tak dalej, i tak dalej. Nie zwracał uwagi na moje wyjaśnienia i bawiąc się laską wosku powtórzył kilka razy, że sytuacja jest „bardzo, bardzo groźna”. Rozeszły się pogłoski, iż bardzo ważna stacja znajduje się w niebezpieczeństwie, a jej kierownik, Kurtz, leży chory. Dyrektor ma nadzieję, że to nieprawda. Kurtz jest... Czuję się zmęczony i zirytowany. Do diabła z tym Kurtzem! Przerwałem oświadczając, że słyszałem już o tym Kurtzu na wybrzeżu.

– Ach tak! więc mówią tam o nim – szepnął sam do siebie. – Po chwili milczenia ciągnął znów dalej, zapewniając mnie, że Kurtz jest najlepszym jego agentem, że jest to człowiek wyjątkowy, na którym towarzystwu jak najbardziej zależy; toteż rozumiem chyba jego niepokój – dyrektora. Jest bardzo, ale to bardzo niespokojny. I rzeczywiście wiercił się wciąż na krześle, wykrzykując:

– Ach, ten Kurtz! – aż wreszcie laska wosku złamała mu się w rękach, co wprawiło go jakby w osłupienie.

Następnie zażądał ode mnie informacji, „ile czasu potrzeba, ażeby...” Przerwałem mu znowu. Widzicie, byłem głodny, a że

w dodatku nie proszono mnie, bym usiadł, więc zaczynałem się wściekać.

– Skądże mam wiedzieć? – odrzekłem. – Jeszcze nawet nie widziałem tego statku. Zapewne kilka miesięcy. – Cała ta gadanina wydawała mi się zupełnie jałowa.

– Kilka miesięcy – powtórzył. – No dobrze, powiedzmy trzy miesiące, zanim będziemy mogli wyruszyć. Tak. To powinno wystarczyć.

Wypadłem z jego chaty (mieszkał sam jeden w glinianej lepiance, przy której było coś w rodzaju werandy), mrużąc pod nosem, co o nim myślę. Gadatliwy idiota! Potem zmieniłem zdanie, uprzytomniwszy sobie z lękiem, jak dokładnie ocenił czas potrzebny na tę „historię”.

Następnego dnia wziąłem się do pracy, odwrócony, że tak powiem, tyłem do stacji. Wydało mi się, że jedynie w ten sposób pozostanę w kontakcie ze zbawiennymi faktami życia. Jednak trzeba było się czasem rozejrzeć i wówczas widziałem tę stację, tych ludzi wałęsających się bez celu po dziedzińcu w blasku słońca. Zapytywałem siebie niekiedy, co to wszystko ma znaczyć. Wędrowali tu i tam ze swymi idiotycznymi, długimi kijami w rękę jak banda niewiernych pielgrzymów, zaczarowanych w obrębie zbutwiałego płotu. Słowo „kość słoniowa” rozlegało się w powietrzu, rozchodziło się szeptem, ulatywało jak westchnienie. Można było pomyśleć, że się do niego modlą. Zaraza głupiej chciwości przenikała to wszystko jak trupi zapach. Słowo daje, nie widziałem jeszcze nigdy

w życiu czegoś równie nierealnego. A głucha dzicz otaczająca tę polankę uderzyła mnie jak jakaś niezwyciężona wielkość – zło czy prawda – czekająca cierpliwie na zniknięcie bezsensownej inwazji.

Och, te miesiące! No, mniejsza z tym. Wydarzyły się w tym czasie różne rzeczy. Pewnego wieczoru szopa z trawy, pełna kretonu⁷⁶, perkali, paciorków i nie wiem już czego, buchnęła płomieniem tak nagle, iż można było pomyśleć, że ziemia się rozstała, aby pozwolić mściwemu ogniovi pochłonąć wszystkie te śmiecie. Palilem spokojnie fajkę obok mego ogołoczonego parowca i patrzyłem na nich wszystkich, jak fikali w świetle ognia z podniesionymi wysoko ramionami; wtem nadbiegł ów tęgi człowiek o czarnych wąsach, pędząc ku rzece z blaszanym wiadrem w ręku; zapewnił mnie, że „wszyscy się zachowują wspaniale, wspaniale”, nabrał mniej więcej kwartę wody i popędził z powrotem. Spostrzegłem, że dno jego wiadra jest dziurawe.

Poszedłem z wolna ku szopie. Pośpiech był zbyteczny. Uważacie, zajęło się to jak pudełko zapalek. Rzecz była przesądzona od samego początku. Płomienie skoczyły wysoko, odepchnęły wszystkich, oświetliły wszystko – i zapadły się. Szopa była już kupą rozżarzonych węgli. Niedaleko chłostano Murzyna. Powiedzieli mi, że to on wywołał ogień w jakiś tam sposób; tak czy owak, wrzeszczał najokropniej. Widywałem go później przez kilka dni siedzącego w skrawku cienia; wyglądał

⁷⁶ kreton – cienka bawełniana tkanina. [przypis edytorski]

na bardzo chorego i usiłował się wylizać; wreszcie wstał i odszedł – a dzicz przyjęła go bezgłośnie z powrotem na swoje łono.

Gdy wyszedłszy z ciemności podszedłem do żarzących się zgliszczy, znalazłem się za plecami dwóch ludzi, którzy z sobą rozmawiali. Usłyszałem nazwisko Kurtza, a potem słowa: „... wyciągnął korzyść z tego nieszczęśliwego wypadku.” Jednym z tych ludzi był dyrektor. Powiedziałem mu „dobry wieczór”.

– No, widział pan kiedy coś podobnego? To nie do wiary – rzekł i odszedł.

Drugi pozostał. Był to jeden z głównych agentów, człowiek młody, elegancki, o obejściu dość powściągliwym; miał małą, rozwidloną bródkę i haczykowaty nos. Traktował z wysoka innych agentów, którzy ze swej strony twierdzili, że odgrywa rolę szpiega przy dyrektorze. Co do mnie, nigdy prawie przedtem z nim nie mówiłem. Rozgadaliśmy się i po pewnym czasie odeszliśmy z wolna od syczących zgliszczy. Zaprosił mnie do swego pokoju, który znajdował się w głównym stacyjnym budynku. Gdy potarł zapałkę, spostrzegłem, że ten młody arystokrata posiada nie tylko neseser⁷⁷ ze srebrnymi przyborami toaletowymi, ale i całą świecę. W owym czasie panowało przekonanie, że tylko dyrektor ma prawo do świec. Gliniane ściany były pokryte krajowymi matami; zbiór dzid, włóczni, tarcz i noży wisiał jak trofea. Owemu agentowi powierzono wyrób cegieł – przynajmniej tak mnie poinformowano; ale na całej stacji nie było ani kawałeczka cegły, a on siedział tu już

⁷⁷ *nesezer* – rodzaj walizki. [przypis edytorski]

przeszło rok – i czekał. Podobno do fabrykacji cegieł brakowało mu czegoś – nie wiem dobrze czego, może słomy. W każdym razie nie można było tam tego dostać, a ponieważ nie było prawdopodobne, że przyślą to z Europy, nie rozumiałem dobrze, na co ten człowiek właściwie czeka. Może na jakiś specjalny akt stworzenia. A jednak oni wszyscy na coś czekali – ci pielgrzymi w liczbie szesnastu czy dwudziestu; i dalibóg, nie wyglądało to wcale na nieprzyjemne zajęcie, sądząc ze sposobu, w jaki to znosili – choć spotykała ich tylko choroba, o ile mogłem osądzić. Skracali sobie czas, obmawiając się nawzajem i knując przeciw sobie intrygi w głupi sposób. Wyglądało na to, że wszyscy spiskują, ale nic z tego naturalnie nie wynikało. To spiskowanie było równie nierealne jak wszystko – jak filantropijne pozory całego przedsiębiorstwa, jak gadanina tych ludzi, jak ich zarząd, jak udawanie, że się pracuje. Jedynym ich szczerym uczuciem było pragnienie, aby się dostać na handlową placówkę, gdzie by można dobrać się do kości słoniowej i zarabiać na prowizjach. Intrygowali i spotwarzali się, i nienawidzili wzajemnie tylko z tego powodu, ale w gruncie rzeczy nie umieli skutecznie nawet kiwnąć palcem. Dalibóg, coś w tym jest jednak, że jednemu świat pozwala ukraść konia, a drugiemu nie wolno nawet spojrzeć na postronek. Weźmie taki i ukradnie konia. Bardzo pięknie. Zrobił to. Może umie jeździć konno. Ale jest pewien rodzaj przyglądania się postronkowi, który i najlitościwszego ze świętych doprowadziłby do kopnięcia.

Nie miałem wyobrażenia, dlaczego ów agent wysiła się na

rozmowę, ale gdyśmy tak gawędzili, przyszło mi nagle na myśl, że chce coś ze mnie wyciągnąć – że po prostu bierze mnie na spytki. Napomykał ciągle o Europie, o ludziach, których znajomość mi przypisywał – zadawał mi chytre pytania co do moich stosunków w „grobowym mieście” i tak dalej. Jego małe oczka połyskiwały ciekawością jak dwa kóleczka z miki⁷⁸ – choć usiłował się zachowywać dość wyniośle. Z początku tylko mnie to dziwiło, ale wkrótce ogarnęła mnie szalona ciekawość, jakie wiadomości ze mnie wyciągnie. Nie mogłem zrozumieć, co we mnie jest takiego, że ten człowiek zadaje sobie tyle trudu. Bardzo było zabawnie patrzeć, jak on sam się bierze na kawał, gdyż w rzeczywistości nic we mnie nie było prócz dreszczów, a w głowie miałem jedynie ten nieszczęsny parowiec. Agent brał mnie najwidoczniej za bezwstydnego krętacza. W końcu zirytował się i udał, że ziewa, aby ukryć odruch wściekłego rozdrażnienia. Wstałem z miejsca. Zauważyłem mały szkic olejny na drzewie, przedstawiający kobietę w udrapowanej szacie, z zawiązanymi oczyma, niosącą zapaloną pochodnię. Tło było ciemne – prawie czarne. Ruch kobiety był majestatyczny, a blask pochodni oświetlał ponuro jej twarz.

⁷⁸ *mika* – błyszczący minerał, niekiedy mylony ze złotem. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.